

335

BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ

Nr. 88.

PODLASIE
I ZIEMIA CHEŁMSKA

PRZEZ

W. P. C.



Cena 50 hal.

LWÓW — NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ

Główny skład w Administracji „Macierzy Polskiej” w Gmachu Sejmowym, w Krakowie
w księgarni G. Gebethnera i Sp., w Nowym Yorku w biurze Tow. Polish Book Imp. Co. Inc.

1914

MACIERZ POLSKA

Fundacya utworzona przez J. I. Kraszewskiego w r. 1882 celem „szerzenia oświaty ludowej w tych warstwach społeczeństwa, w których jej potrzeba okaże się najpilniejszą“ wydaje:

1) Książki z dochodów Fundacji Kościuszkowskiej.

- Nr. 1. **Tadeusz Kościuszko**, napisał Antoni Chole- K. h
niewski. Z 40 rycinami, 2-ma tablicami
kolorowanymi, przedstawiającymi wojsko
Kościuszkowskie, i z autografem Ko-
ściuszki, wyd. wtóre w broszurze . . . 1 50
w ozdobnej oprawie . . . 2 —
- Nr. 2. **O wychowaniu**, napisał Dr. Antoni Danysz 1 60
- Nr. 3. **Uniwersytet wileński i jego znaczenie**, z 59
rycinami i 2-ma tablicami kolorowanymi.
Napisał Ludwik Tur w broszurze . . . 1 —
w kartonie . . . 1 50
- Nr. 4. **Kultura polska** zawiera:
Dzieje literatury polskiej, Dzieje budo-
wnictwa, rzeźby, malarstwa i muzyki
w Polsce. Rozwój ekonomiczny i społe-
czny w Polsce do r. 1795. Stosunki go-
spodarcze, społeczne i ekonomiczne w Kró-
lestwie Polskiem, na Litwie i Rusi, w Księ-
stwie Poznańskim, w Prusiech Królew-
skich, na Ślązku i w Galicyi. Lata osta-
tnie 1904—1908. — Cena tomu broszu-
rowanego 8 —
kartonowanego . . . 10 —
oprawnego . . . 12 —
- Nr. 5. **Puławy**, przez W. Jankowskiego w brosz. 1 —
w kartonie . . . 1 50
- Nr. 7. **Okruszyny z Gremboszowa**, napisał Jakób
Bojko, z licznymi rycinami w kartonie . 1 70
- Nr. 8. **Piotr Skarga**, napisał Konstanty Wojcie-
chowski, z 23 rycinami w broszurze . . 1 —
w kartonie . . . 1 50
- Nr. 9. **Hugo Kołłątaj**, nap. E. Kipa z 14 rycinami
w brosz. 1 20
w kartonie . . . 1 80
- Nr. 10. **Tadeusz Czacki i Krzemieniec**, napisał
Michał Rolle w broszurze 1 40
w kartonie . . . 2 —

BIBLIOTEKA MACIERZY POLSKIEJ

Nr. 88.

PODLASIE I ZIEMIA CHEŁMSKA

PRZEZ

W. P. C.

WE LWOWIE

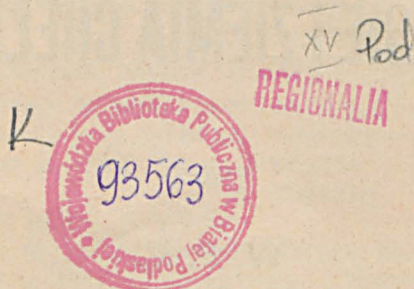
NAKŁADEM MACIERZY POLSKIEJ

Główny skład w Administracji „Macierzy Polskiej“ w Gmachu Sejmowym
Skład główny w księgarni G. Gebethnera i Sp.
W New-Yorku w Towarzystwie „Polish Book Importing Co. Inc.“
1914.

Miejska Biblioteka Publiczna
Biała Podlaska



5 152687000004



282:281:943.8 Podlaskie
Chetmieszczyna

XV C IV A 1

KRAKOW. — DRUK W L. ANCZYCA I SPÓŁKI

Z dziejów Podlasia.

W dawniejszych wiekach nierównie większą była przestrzeń kraju Podlasiem zwanego, do którego rościli sobie prawo Polacy, Litwini i Krzyżacy; stąd ciągle napady i niszczenie tej ziemi. Krzyżacy opierali na tem pretensye, iż Podlasie było w pogaństwie i Prusom przyległe: lecz Inocenty IV. przyznał je w roku 1253 Bolesławowi Ks. krak. i Kazimierzowi Ks. kuj.¹⁾, którzy poczęli zaszczeplać tamże wiarę Chrystusa; wojny atoli z sąsiadami wszelkie apostołów usiłowania bezowocnemi czyniły. Później zagarnęli Litwini znaczną część Podlasia i do dzielnic Ks. trockiego przyłączyli; uprawniła ten zabór ugoda 1366 roku zawarta, mocą której zapewnił Kazimierz Wielki, iż do Drohiczyna, Mielnika i Bielska, jako do ziem ks. Kiejstuta prawa mieć nie będzie. Posiadłości te należały także i do utworzonego w 1413 r. wojew.

¹⁾ Bulla papieska: »Zezwalamy, abyś ziemi podleskiej pogan pod swoje rządy przyjął i ich zatrzymał we władzy swojej, jeżeli dobrowolnie za to zechcą na drodze chrztu św. wiarę Chrystusa wyznawać«.

trockiego, część zaś Podlasia dzierżyli książęta Mazowieccy, póki i z tej przez Kazimierza W., ks. litewskiego, wyzuci nie zostali.

Dopiero Zygmunt Stary, będąc w Toruniu w 1520 roku, z powiatów drohickiego, brzeskiego, bielskiego, kamienieckiego, mielnickiego i kobryńskiego utworzył oddzielne województwo podlaskie (Naruszewicz t. IV. str. 318).

Na sejmie zaś lubelskim takowa 5. marca 1569 roku zapadła uchwała: »iż ziemia podleska ku Koronie polskiej wiecznie prawem doskonałym jeszcze przed Władysławem Jagiellem y przez wszystkich czas panowania jego, także za Władysława syna jego należała, którą potym król Kazimierz tym sposobem, iż nad oboiem narodem był przełożonym, od Królestwa t. j. od Mazowsza oddzieloną y od własnego ciała oderwaną chciał mieć; czemu się sprzeciwiły, ani na to nie zezwoliły stany koronne, y od nas też samych tej ziemi pilnie zawsze upominać się nie zaniechali, aby była do Korony przywrócona; z tych tedy przyczyn, my tę ziemię do jedności nie rozerwalnej, a iako własny a prawdziwy członek ku pierwszemu, a własnemu ciału, a głowie, ze wszystkimi iey grodami, zamkami, miastami, wsiami, powiaty, w tytuł koronny przywracamy y ku iednemu ciału wracamy, wszczepiamy, wpaiamy, czasy wiecznymi«. (Constitucie statuta i. t. Kraków 1579 r.) Do dawnego herbu, wyobrażającego pogoń litewską, przydany został orzeł biały bez korony w polu czerwonym, wojewodzie naznaczono w senacie miejsce po mazowieckim. Województwo obierać poczęło sześciu posłów i dwu de-

putatów na trybunał. Drohiczyn uważany był za stolicę.

Płaska ta, lasami okryta, Biebrzą, Narwią, Nurcem i Bugiem przetrzęta kraina, liczne mająca bagna, jeziora i w znacznej części grunt piaszczysty, o której mówi przysłowie:

las, piasek, karaski
ma szlachcie podlaski

zamieszkaną była pierwotnie przez Jadźwingów (Jaćwież), którzy niszczyli ustawicznie napadami Mazowsze i ziemię lubelską, wiążąc się z Rusinami, Litwą i Prusakami ¹⁾.

Naruszewicz mówi: »Na poskromienie barbarzyńskiej nawały nakazał Bolesław Wstydlivy w 1264 roku pospolite ruszenie, wtedy cały ich prawie naród z gruntu był wygłodzony«, dalej »Bolesław ostatki tych niedobitków gwałtem kazawszy pochrzcić, całą ziemię podlaską Mazurami i Polakami osadził, których potem liczbę Ruś pograniczna pomnożyła«. (Naruszewicz t. V. str. 111). Tak samo utrzymuje Długosz (t. I. str. 771), zdaje się jednak, iż twierdzenie o zupełnem wytępieniu Jadźwingów jest trochę przesadzone, gdyż Karamsin (t. IV. str. 175) wspomina, iż »w r. 1279 w czasie głodu u Jaćwieży, Włodzimierz, książę Włodzimirski z nad Buga, posłał zboże na sprzedaż za воск, bobry, czarne kuny, srebro. Łodzie wypływały przez Bug także na Narew celem dostawy Jaćwieży pożądanego zboża«. Po raz ostatni

¹⁾ Podług »Polski starożytnej« Balińskiego i Lipińskiego.

o Jadźwingach jest wzmianka w r. 1282, kiedy we-
spół z Litwinami wkroczyli do ziemi lubelskiej i Le-
szek Czarny do reszty ich wygładził.

Co do pochodzenia Jadźwingów to trudno coś
stanowczego powiedzieć, gdyż sprzeczne są zdania
historyków co do tego, zdaje się jednak, iż było to
plemię pokrewne Prusakom, ale n. p. Szulc (O zna-
czeniu daw. Prus) twierdzi, że nazwa Jadźwingów —
Jaćwieży powstała od miejscowości Jaćwież (w pow.
bialostockim). Pytanie jednak, czy właśnie nazwa miej-
scowości nie powstała od Jadźwingów?

Województwo podlaskie graniczyło na wscho-
dzie i północy z W. trockiem i Prusami książęcemi,
na zachód z Mazowszem, na południe z ziemią łu-
kowską. Jakkolwiek Podlasie było krajem lesistym,
jednakże nie brakło mu pól urodzajnych. Wsi wo-
góle były zamożne z dobrymi gospodarstwami, szla-
chty znajdowało się wiele, mianowicie drobnej.

Od czasów utworzenia Województwa, a szcze-
gólniej za panowania Zygmunta Augusta, Podlasie,
choć powoli, ale stale wzrastało w ludność i dostatki,
aż do r. 1655, kiedy zniszczyli je Szwedzi. W czasie
wojen za Karola XII. również częsty jest ruch wojsk
szwedzkich i rosyjskich. Po takich spustoszeniach
Podlasie przez długi czas nie mogło wrócić do da-
wnego stanu.

Po trzecim rozbiórce Polski w r. 1795 przewa-
żna część Podlasia przeszła pod panowanie pruskie
i weszła wraz z częścią Żmudzi, woj. trockiego i Ma-

zowska w skład departamentu białostockiego. Depar-
tament ten miał w przybliżeniu 550 mil kw. obszaru
i dzielił się na 11 powiatów (Marjampol, Kalwarja,
Wigry, Dąbrowa, Białystok, Bielsk (Biała), Drohiczyn
Suraż, Goniądz, Łomża, Tykocin), stolicą był Biały-
stok. Przy utworzeniu Ks. Warszawskiego w r. 1807
departament białostocki został podzielony. Z większej
połowy (pow.: Łomża, Tykocin, Biebrze, Wigry, Kal-
warja, Marjampol, Dąbrowa) utworzony został depar-
tament łomżyński ze stolicą w Łomży, z drugiej
(pow.: Białystok, Biała, Drohiczyn) obwód białosto-
cki, który w r. 1842 włączony został do gub. gro-
dzieńskiej. Powiaty wchodzące w skład dawnego Pod-
lasia były: białostocki, bialski, drohicheński, suraski
goniędzki.

Część Podlasia zostająca pod panowaniem Au-
stryi została także wcieloną do Ks. Warszawskiego
w r. 1809, jako departament siedlecki. Departament
ten obejmował dwa austriackie cyrkuły: bialski i sie-
dlecki, utworzone po części z reszty dawnego woj.
podlaskiego. Miał 214 mil kw.

Po utworzeniu Królestwa kongresowego powstało
Województwo podlaskie, które w r. 1837—1840 otrzy-
mało nazwę gubernii, a w r. 1844 (gdy Królestwo
z 8 gub. na 5 podzielono) wcielone zostało w skład
gub. lubelskiej. W r. 1867 (przy nowym podziale na
10 gub.) z powiatów dawnego Podlasia utworzono gub.
siedlecką (w połączeniu z innymi powiatami).

Województwo podlaskie w r. 1836 miało trzy
obwody: łukowski, bialski, radzyński, dziewięć powia-

tów, 466 gmin, 13 miast rząd., 32 pryw., 253 wsi rz., 1425 pryw. i 397.944 mieszkańców.

Pod względem kościelnym Podlasie należało dawniej do dyecezyi łacińskiej łuckiej; w r. 1818 utworzona została podlaska dyecezya, którą w r. 1866 wcielono do lubelskiej. Dzieliła się na 10 dekanatów: bialski, garwoliński, janowski, łaskarzewski, łukowski, międzyrzecki, parczewski, siedlecki, stężycki i węgrowski. Katedra i siedziba biskupa była w Janowie ¹⁾.

Z dziejów ziemi chełmskiej.

Ziemia chełmska zajęta być mogła na niejaki czas do dzierżaw Włodzimierza Wielkiego w X. w., wtenczas, kiedy on, korzystając z wojen Mieczysława I. na zachodzie, kraje słowiańskie między Dnieprem a Bugiem rozdzielał swym synom. Miał nawet Włodzimierz W. zbudować w Chełmie, należącym do najstarszych grodów słowiańskich, pierwszy kościół drewniany (wsch. obrz.). Długi czas szedł spór o »grody czerwieńskie« (nazwane tak od prastarego Czerwienia, leżącego na lewym brzegu Bugu na południe od Chełma); odebrał je Bolesław Chrobry i już w r. 1019 należała ziemia chełmska znowu do hołdujących Polsce.

Po śmierci Bolesława Krzywoustego zależność tych ziem od Polski osłabioną została wskutek usta-

¹⁾ Podług słownika geograficznego.

wiecznych wojen Polaków z ks. halickimi (Romanem, Danielem i Lwem), oraz najazdów Mongołów, więc też i ziemia chełmska często zmieniała władców. Bolesław Wstydlivy wytepił wprawdzie Jadźwingów (1264), ale Polska zbyt osłabiona była wówczas, aby mogła się tu utrzymać.

W XIII. w. był Chełm stolicą udzielnych książąt halickich, a między nimi jednego z najpotężniejszych, Daniela halickiego. On to założył tutejsze biskupstwo (wschod. obrz., wprzód będące zdaje się w Uhrowisku), odbudował, a raczej na nowo wznosił miasto (około 1233 r.), które umocnił, a opuściwszy Halicz po spustoszeniu go przez Mongołów, osiadł z bratem Wasilkiem w Chełmie (który od grabieży ocalał), wznosząc dalej wspaniałe świątynie i inne budowle.

Kronika hipacowska wspomina, że ks. Daniel wystawił wieżę obronną, a o milę dalej wysoki słup (strażnicę) dla obrony i straży miasta.

W okolicy Chełma o pół mili od miasta pod wsią Bielawinem stały do niedawna ruiny wieży kamiennej wokół oblane wodą, a z drugiej strony miasta we wsi Stołpi ruiny znacznie mniejszych rozmiarów wskazujące jakby na strażnicę: ale nie mógł ich budować ks. Daniel, gdyż znać w nich styl ostrołukowy, prawdopodobnie więc na miejscu owej wieży i słupa, stawianych przez ks. Daniela, później dobudowano te, których szczątki dotrwały do naszych czasów.

W r. 1251 spaliło się miasto, a w r. 1264 umarł ks. Daniel; odtąd Chełm, ciągle zmieniając panów, częstym ulegał zniszczeniom.

Po śmierci ks. Daniela obszerne jego państwo obejmujące Wołyń, dawne grody Czerwieńskie (Ruś Czerwoną) i zachodnią część Podlasia z Drohiczyńnem zaczęło upadać; najpierw synowie jego podzielili się, a ks. Lew otrzymał grody Czerwieńskie¹⁾, ale z czasem, wskutek wygasania rodziny ks. halickich, Wołyń dostał się Lubartowi, synowi Gedymina, tytułem wiana żony, a dawne grody czerwieńskie po śmierci Jerzego (1339 r.), ostatniego ks. halickiego, przeszły w posiadanie Bolesława, ks. Mazowieckiego, jako syna jego siostry (żonatego z Gedyminówną), a po śmierci tegoż dostały się w spuściźnie Kazimierzowi Wielkiemu.

Kazimierz Wielki przyłączył więc na nowo do Korony Ruś Czerwoną, a chociaż zrazu ziemie do niej przynależne t. j. chełmską i bełzką, oraz przyległe włodzimierską i Brześć zostawił w posiadaniu synów Gedymina, jednak w r. 1349 ziemię chełmską do Korony też wcielił; losy jej jednak jeszcze długi czas były bardzo zmienne: w 1350 r. ks. litewscy, napadliszy na Polskę, zajęli Chełm, a Lubart ks. włodz. przez kilkanaście lat tu panował i dopiero w r. 1377 Ludwik, zrobiwszy wyprawę na Litwę, utrwalił przynależność ziemi chełmskiej do Polski, a Jadwiga w 1390 roku dzieło jego umocniła; odtąd ziemia chełmska przez cztery z górą wieki w skład Rzeczypospolitej wchodziła.

Już Kazimierz Wielki starał się utworzyć w Cheł-

¹⁾ Z owych to czasów powstała nazwa Galicji i Lodomeryi od książąt na Haliczu i Włodzimierzu (na Wołyniu).

mie biskupstwo łacińskie, a w r. 1375 nastąpiło ustanowienie papieskie osobnej metropolii halickiej na Rusi Czerwonej z włączeniem do niej wieczystem ziemi chełmskiej, zdaje się jednak, że oprócz biskupa Tomasza z Sienna i Stefana dyecezya ta pozostała długi czas tytularną — obaliło ją i oderwało chwilowo od Polski współzawodnictwo kościelno-państwowe Witolda z Jagiellą i Litwy z Koroną polską o ziemię wołyńską.

W epoce piastowskiej granice Wołynia i Rusi Czerwonej nie były ściśle określone i ziemie te były terenem ciągłych walk, a nazwy Wołyń, Ruś czerwona i grody Czerwieńskie schodziły się z sobą. W czasach, gdy Wołyń obejmował ziemie z obu stron Bugu leżące, nazwy ziem »wołyńska« i »czerwińska« były prawie równoznaczne, z czasem dopiero ziemia wołyńska z lewego brzegu Bugu przeszła wyłącznie na prawy; ale już znowu w XIV. w. w latopisach ruskich i litewskich cały obszar ziem halicko-wołyńskich zwie się wprost Wołyniem, a w spis grodów wołyńskich wchodzi miasta: Bełz, Chełm, Lwów, Przemyśl, Halicz i Sambor.

Naodwrot zaś w nazwie polskiej Ruś Czerwona obejmuje ziemie południowo-ruskie wchodzące w skład Korony polskiej, a stanowiące ziemie: chełmską, przemyśko-sanocką i halicko-lwowską.

Tak to w tej fazie dziejów ziemi chełmskiej toczyła się w niej walka o nazwę i przynależność państwową i kościelną.

Dopiero od r. 1417 t. j. od aktu nowokoreczyńskiego i biskupstwo chełmskie łacińskie, dotychczas

przeważnie tytularne, staje się rzeczywistym i pozostaje odtąd pomimo zmian siedziby biskupiej wraz z ziemią chełmską stale przy Koronie. Jagiello funduje w Chełmie katedrę i nadaje miastu prawo magdeburskie. Odtąd Chełm wzrasta stale, aż do czasów wojen kozackich za Jana Kazimierza; spalone wówczas miasto już do dawnego stanu nie wróciło.

Chociaż ziemia chełmska należała do województwa ruskiego (Rusi Czerwonej) miała jednak swoich 2 senatorów, biskupa i kasztelana.

Herb ziemi chełmskiej: biały niedźwiedź między trzema drzewami w zielonem polu.

Rzeki Bug i Wieprz przerzynają jej powierzchnię, między Bugiem a Wieprzem ciągnie się grzbiet wododziałowy w niektórych miejscach tak nieznaczny, że wody obu rzek zlewają się niekiedy za pośrednictwem swych dopływów. Znaczniejszym dopływem Wieprza jest rzeka Tyśmienica przepływająca Podlasie.

Pod Chełmem płynie rzeka Uherka.

Granice ziemi chełmskiej stanowiły: od północy i zachodu województwo lubelskie i brzesko-litewskie, od wschodu Wołyń, od którego oddzielał ją Bug, od południa województwo bełzkie.

Pod względem gleby ziemia chełmska należy do urodzajnych, strony południowa i zachodnia są żyzniejsze: południowa część jest pagórkowata, wyżyny dochodzą do 300 m.

Podlasie.

Ogólna charakterystyka ludu.

Piękność ojczyzny naszej polega nie tylko na tym uroku szaty zewnętrznej, który odczuć i zobaczyć potrafi najbardziej obojętne oko obcego przybysza, ale także na tej piękności duchowej, którą wyczuć może tylko serce gorąco kraj swój milujące.

A jeżeli tak bardzo urozmaiconą jest jej szata zewnętrzna, to niemniej różnorodna jest i strona duchowa każdej okolicy.

Cechą charakterystyczną, że się tak wyrażę, »duchem« Podlasia, jest smutek tak przenikający tę krainę, że odczuć ją musi każde choćby najobojętniejsze serce.

Gdy wkraczamy w tę dziedzinę łez i bólu, czy to jadąc koleją Terespolską od strony Łukowa, czy też Nadwiślańską i Łukowsko-Lubelską od Lubartowa, owiewa nas ten smutek niewytłumaczony. Bezbrzeżny smutek wieje z tych niezmiernych łąk, które osuszone mogłyby być bogactwem okolicy, z tych pól ubogich na działkach chłopskich tak lichu uprawnych, smutne jest niebo od oparów z łąk mokrych, więcej może zasnuć chmurami, niż gdzieindziej; smutnie szumią olbrzymie topole nadwiślańskie, które poobsadzone są »polskie« drogi, opowiadające sobie straszne dzieje Unii podlaskiej, smutne choć i dumne zarazem nadbrzeżne szuwary i łoziny, dumne, bo wiedzą, że nieraz ratowały życie biednym Polakom tutaj

szukającym schronienia przed pościgiem moskiewskich siepaczy.

Ale najsmutniejszym jest lud tutejszy. Najlepiej uwydatnia się ten smutek w wejrzeniu i śpiewie. Spojrzenie ich opowiada nam o tem życiu bez chrztu kościelnego i innych sakramentów, bez znajomości głębszej zasad tej wiary, którą tak ukochali, a często nawet pacierza, mówi nam o tej mistycznej tęsknocie do »Chleba Pańskiego«, który tylko wypadkiem (spowodowanym przeoczeniem strażnika stojącego w drzwiach kościoła) czasem zdarza im się widzieć zdaleka, i o wiecznej trwodze przed pogrzebem na prawosławnym cmentarzu.

Śpiew zaś ludu tutejszego to jakieś dziwne zawodzenie, coś jakby marsz żałobny i kwilenie dziecka za matką, jakiś żal bezbrzeżny i tęsknota, w której nie czuć żadnej nadziei. Tutaj najweselsza piosenka innych okolic brzmi zupełnie inaczej, jak gdzieindziej. Smutną jest n. p. dumka ukraińska, ale jest to smutek młodej dziewczyny, która o poranku smuci się, że milego nie ujrzy aż wieczorem; przez ten smutek przebija się nadzieja przyszłych chwil szczęścia przy powitaniu, jestto jakby radość zasnutą lekką mgłą. Natomiast w śpiewie ludu podlaskiego najbardziej wysubtelnione ucho nuty weselszej nie wyczuje.

A i wygląd zewnętrzny odpowiada śpiewowi. Chłop podlaski, to nie Mazur z twarzą jasną i wesołą, to człowiek przygnębiony, nieufny i smutny, smutkiem beznadziejnym, smutkiem pochodzącym stąd, że gdy nam zabrano wolność tylko, im wolność i religie. Mv. chociaż w niewoli, jesteśmy panami dusz

naszych, wolno nam modlić się tak, jak serce dyktuje, im tego wzbraniano. Chciano im zabrać ten największy skarb człowieka — duszę i rzucić pod nogi carowi.

Unita podlaski rzadko kiedy zdawał sobie sprawę z różnicy, jaka zachodzi pomiędzy jego wyznaniem a prawosławiem, czuł tylko i wiedział, że wiara prawosławna jest zła, i że gubi duszę, więc też on swojej bronił jako rzeczy najdroższej. Oddawał dobytek, ziemię, wolność osobistą i siedł spokojnie na Sybir ale wiary swojej się nie wyrzekł. Starsi jeszcze uświadomieni mówili młodszemu, że »wiara prawosławna gubi duszę, więc przyjmować jej nie trzeba«, a młodszy słuchali tych słów ze czcią i zapisywali je głęboko w swych sercach. I tak stał się fakt, który kiedyś zdumiewać będzie historyków, że lud ciemny, pozbawiony zupełnie opieki kapłańskiej i nie rozumiejący nawet, czego od niego żądają, przez 33 lat znosił wszystkie katusze, na jakie tylko rozpasane żołdactwo zdobyć się mogło, umierał lub siedł na Sybir, lecz prawosławia nie przyjął.

Jak mało lud ten zdawał sobie sprawę z różnic zachodzących pomiędzy wyznaniem prawosławnym a obrządkiem unickim, dowodzą następujące fakty:

Było to w czasach, gdy rząd moskiewski przekonawszy się, że ani kary materyalne, ani zsyłki, katowanie, śmierć nawet, nie zdołają przełamać oporu Unitów, zaczął próbować innych środków.

Do danej miejscowości zjeżdżał gubernator z naczelnikiem, zwoływano gromadę i po długich naukach

i namowach obiecywano każdemu »nawróconemu« kożuch, krowę i znaczną ilość pieniędzy.

Pewnego razu po długiej przemowie gubernatora, wysławiającej wszystkie przywileje i korzyści prawosławia, oraz dobroć cara, który tak bardzo kocha swych poddanych, że nie tylko im nie broni przystępu na łono »świętej prawosławnej cerkwi«, ale nawet, na pamiątkę zjednoczenia się z nim ukochanych poddanych, każdemu przystępującemu do prawosławia ofiarowuje kożuch, krowę i pieniądze, nastąpiło zwykle wywoływanie »ochotników«.

Wtedy na czoło gromady wysunął się starzec siwowłosy i rzekł: »Ja tam nie jestem uczony w piśmie, nie rozumiem dobrze tego, co J. W. pan gubernator mówi o prawosławiu, ale moim chłopskim rozumem tak sobie kalkuluję. Jeżeli chłop ma konia z »felere«, a chce go wymienić na dobrego, to idzie na targ, dopłaca do niego, a bierze sobie konia zdrowego i robotnego. Otóż mnie się widzi, co ta wiara prawosławna musi też być jakaś »felerna«, kiedy Najjaśniejszy cesarz chce do niej dopłacać; taki my już wolimy zostać przy swojej«.

Wiara prawosławna jest »felerna«, oto wyrażenie doskonale charakteryzujące pojęcie, jakie panuje u ludu podlaskiego.

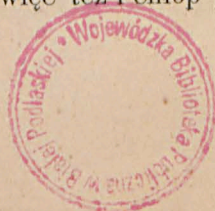
Znałam chłopca-samouka, bardzo inteligentnego, który sam prowadząc doskonale swoje gospodarstwo, z całem zaparciem się i poświęceniem uświadamiał sąsiadów swoich w tym kierunku, jednak o kwestiach religijnych nigdy z nimi nie mówił.

Sądziłam, że to egoizm, lecz na wymówkę uczy-

nioną mu w tym względzie, tak mi odpowiedział: »Ja sam dobrze rozumiem różnicę pomiędzy wyznaniem katolickiem a prawosławiem, ale nie czuję się na siłach, abym mógł gromadzie rzecz tę jasno wyłożyć, boję się, żebym nie sprawił w ich głowach zamętu, któryby ich zrobił podatniejszymi na »nauki« popa. Dziś oni się nad tą sprawą nie zastanawiają, tylko wiedzą, że wiara prawosławna jest zła, »felerna« i gubi duszę i to im najzupełniej wystarcza, aby trwać w swoim oporze. W obecnym ich przekonaniu w sprawie tej istnieją tylko dwie drogi, albo przyjąć prawosławie, a temsamem zgubić duszę i zasłużyć na wieczne potępienie w piekle, albo też znosić tu na ziemi wszelkie straty, męczarnie i zsyłkę, ale za to uratować duszę i otrzymać wieczną nagrodę w niebie. Oni wybierają to ostatnie. Kto wie, czy, gdyby zaczęli rozważać bliżej zachodzące różnice, bez dostatecznego przygotowania umysłowego, popi w końcu nie zdolaliby im wskazać jakiej drogi pośredniej«.

Najpobieżniejszy rzut oka na ten 33-letni okres ich męczeństwa wskazuje, że ów chłop-samouk znał dobrze swoich braci i postępował racjonalnie.

Czyż więc znając te straszne dzieje, można się dziwić smutkowi Unitów podlaskich? — czyż można nie otaczać czcią najwyższą tych bohaterów i męczenników? Zapewne, nigdzie tak jak tutaj nie da się zastosować ta prawda, że człowiek nie jest wykuty z jednolitego metalu mniej lub więcej szlachetnego, ale jest zlepkiem kruszców najróżnorodniejszych, więc też i chłop podlaski pomimo swojej świę-



tości i męczeństwa nie jest wolnym od wad, którym podlega lud nasz wogóle.

Chcąc jednak o tem wydać sąd jakiś, trzeba by badać głębiej psychologię ludu; co do mnie to zauważyłam tylko, że lud nasz ma swoją osobną logikę nie liczącą się z żadnym kodeksem karnym, a lud na Podlasiu żyjący przez okres swego męczeństwa w zupełnym zastoju wszelakiego rozwoju, przytem zawsze oddalony od szerszego świata, dziś przeżywa jeszcze okres średniowieczny.

Tem też tłumaczyć trzeba ten charakterystyczny brak poszanowania cudzej własności. Dla nich dotąd las i pastwisko, to »dar Boży«, własność wszystkich, więc też wypasanie łąk i kradzież leśna jest dozwolona.

Trudniej już wytłumaczyć tę straszną chciwość na grunt i »dobytek«, chciwość nie pomną na krzywdy żon i sierót zesłańców. Jednakże ta zachłanność na ziemię jest ogólną cechą chłopów naszego.

W każdym razie bardzo dodatnią stroną Podlasiaków, wynikającą z ich bezwiednego przejścia się wielkiem posłannictwem dziejowem, jest to, że niema w nich ani śladu jakiejś chęci zemsty, gniewu lub złości — oni wszystko, co ich spotykało, przyjmowali jako »dopust Boży« z poddaniem, odwagą i im tylko właściwą łagodną a dumną pokorą.

Niema w nich także ani cienia chępliwości i przechwalania się tem, co przecierpeli, przeciwnie z wielkim trudem można od nich wydobyć jakąś opowieść i to wypowiedzianą z taką prostotą, tak spo-

kojnie i poważnie, że ma się ochotę klękać i całować kraj ich szaty.

Zauważyłam też daleko mniejsze pijaństwo, jak w innych stronach. Oni boją się wódki, jak ognia, wiedząc z doświadczenia, że chłop pijany najskłonniejszy jest usłuchać namowy popa.

Są także, tak jak lud wogóle, bardzo wdzięczni.

Okoliczni służbodawcy narzekają ogólnie, że lud na Podlasiu jest leniwy. Mojem zdaniem jest to tylko wynik złego odżywiania się. Nawet po dworach żywią służbę tak lichu, że na Mazowszu do tygodnia wszyscy by pouciekali, a cóż mówić dopiero o parobkach na ordynaryi, lub komornikach. Że nie są znów tak bardzo leniwi, dowodzi ogromnie rozwinięta uprawa lnu i konopi. Nawet najbiedniejsza gospodyni sieje rok rocznie czy to len czy konopie. Do pracy męczyźni i kobiety używają przeważnie ubrania z wyrobów domowych, a śliczny, barwny »welniak«¹⁾ jest dotąd najgłówniejszą podstawą »wyprawy« każdej dziewczyny, nie mówiąc już o całych sztukach domowego płótna.

Dziewczęta przeważnie są ładne, smukłe, choć drobne, o rysach ściągłych, ciemnych włosach i oczach myślących i niewymownie smutnych. Wystarczało jednak kilka lat małżeństwa, po ślubie zawartym gdzieś zagranicą bez marki rządowej, lat spędzonych w wiecznej trwodze przed pościgiem strażników, lat krycia się po lasach i wyżkach przed ciąglem roz-

¹⁾ Welniak — spodnica z domowego sukna w pasy.

pędzaniem, aby młodą i ładną dziewczynę, zmienić do niepoznania.

Ale »moralność« rządu rosyjskiego świeciła tryumfy; »nieślubni« nie mieszkali razem.

Przez sześć lat moich badań nad ludem podlaskim, badań prowadzonych jednocześnie nad ludem w innych stronach, zauważyłam u nich trzy charakterystyczne cechy, niespotykane gdzieindziej, a to mistyczną słodycz, nieufną nieśmiałość i marzycielską ospałość.

Słodycz ich nazwałam mistyczną, gdyż ujawnia się tylko odnośnie do ich walk religijnych; jestto rys nie spotykany nigdzie.

Nieufna nieśmiałość wynikała z wiecznej obawy »donosu«; prócz tego są skryci tak, jak lud wogóle.

Co zaś do tej ich wiecznej melancholii i marzycielskiej ospałości, to zapewne tkwi ona po części w naturze smutnej ziemi podlaskiej, oraz w tym strasznym głodzie duchowym i lichej strawie fizycznej.

Uszlachetnieni przez ból i cierpienie, oto jest ogólne streszczenie moich poglądów.

Skasowanie Unii.

O patryotyźmie we właściwym znaczeniu tego wyrazu lud nasz do niedawna nie miał nawet pojęcia.

Że jednak czy to jednostka, czy naród lub też warstwa jakaś w narodzie, musi mieć swój ideał, swoje ukochanie — więc też i lud ma takie »umiłowanie« — religię i ziemię. Przez całe wieki upośle-

dzenia, niewoli i ciemnoty jedynymi pocieszycielami chłopa był Kościół i ziemia.

Ziemia to żywicielka jego i rodziny, przyjaciółka — śnieżnem, zielonem lub złocistem obliczem uśmiechająca się do niego — na jej łonie złoży kiedyś strudzone członki. Kościół to jedyne miejsce, gdzie się czuł człowiekiem, gdzie wobec Boga był równy innym.

Więc też od wieków ukochał ziemię i kościół.

Ale tak, jak nie pojmował, że ta ziemia wkłada na niego jakieś obowiązki, tak też nie rozumiał prawdziwego ducha przenikającego Kościół Boży. O cnotach ewangelicznych miłości bliźniego, przebaczeniu uraz — nie wiedział zgoła. Zawziętość i mściwość były zawsze podstawą jego charakteru. O byle kłonce, wiązkę siana, skibę ziemi procesował się do ostatniej sukmany — nieraz podpalał — zabijał nawet.

Lud na Podlasiu posiadał te same cechy.

Gdy padł rozkaz z góry »Skasować Unię« i 200 tysięcy Unitów przepisano na prawosławie — między ludem podlaskim zawrzało.

»Chcą nam odebrać naszą wiarę, nasze kościoły — nie damy się«.

I nie »dali się«. Im większy był ucisk, im sroższe katusze, tem bardziej lud się zacinał. — Nie darmo dano im miano »opornych«. Nastal szereg lat męczeństwa. Lat łez, krwi, bólu i cierpienia. »Nawracano« gminami, wsiami, chatami i pojedynczo — »nawracano« karami, nahajkami, głodem, Sybirem, namowami i pieniędzmi, ale wszystko napróżno. Każda chata to była niezdobyta placówka, gmina to woj-

sko ciche, pokorne, ale karne i nieugięte w oporze. Wyginęło lub poszło na Sybir jedno pokolenie — zastąpiło je następne z równym męstwem walczące, niezwykłe. A ofiara ich była może szczytniejsza, niż pierwszych chrześcijan — od tamtych żądano, aby oddawali cześć bałwanom, od tych tylko zmiany wyznania.

Na całym Podlasiu było bardzo niewiele takich, którzy dobrze pojmowali różnicę. A popi i carscy urzędnicy tak kusząco przedstawiali prawosławie, tak do zera redukowali owe różnice, a tylu księży unickich przeszło na prawosławie.

Ale Bóg czuwał nad ludem swoim.

I tu dopiero przejawia się w całej pełni działanie Łaski. Łaska boska oświeciła tych ciemnych i nieświadomych — wskazała drogę — oczyściła ich serca z wrodzonej chciwości, dała wytrwałość.

Nikt ich nie uczył, nikt nie tłumaczył, nie wskazywał drogi, którą mają wybrać; znaleźli ją sami.

Bezwiednie też odczuli, że szczytna ich ofiara wtedy dopiero będzie zupełna, gdy przyjmą ją z całym poddaniem się, wyrzekną wszelkiej zemsty, pozostawiając ją Bogu.

I lud ten kiedykolwiek tak mściwy — nie skalał nieczem swej ofiary. Oni modlili się za swoich prześladowców.

Carscy czynownicy mogli spokojnie zasypiać, bronili ich wielkość i świętość spełniającej się męki.

Wyodrębnienie.

Od lat kilkunastu na Podlasiu krążyły głuche wieści, że »Podlasie ma być włączone do krajów zabranych«.

Wiedziano, czem to grozi — wiedziano, że to klęska nie tylko moralna, ale i materialna. Już w ostatnich latach ubiegłego stulecia ziemia zaczęła gwałtownie spadać w cenę, a co ważniejsze, nie miała nabywców. Oprócz chłopów, chętnych na każdy kawałek gruntu — nikt ziemi nie kupował.

A przecież ziemia podlaska miała zawsze swoich zwolenników. Przedewszystkiem nie wymaga takiego nakładu pracy, jak grunt cięższy, a przytem jest bardzo wdzięczna. Jakkolwiek nie bywa tu lat nadzwyczajnych urodzajów, jak na Ukrainie lub Kujawach, ale też nie zdarza się zupełny nieurodzaj. Przy jakiej takiej uprawie rolnik zawsze może liczyć na średni zbiór. Szczególniej żyto, kartofle i owies udają się znakomicie.

Młyny i gorzelnie niezbyt odległe, miejscami bardzo rozwinięta hodowla ryb — obfitość łąk i pąszy pozwalająca na utrzymywanie licznej inwentarza sprawiała, że pomimo lekkich gruntów gospodarstwo przynosiło znaczny dochód. Przytem robotnik — tańszy i łatwiej o niego jak w innych stronach, bo lud podlaski nie ruszał się ze swych zagrod (z wyjątkiem do Ameryki); obawiając się wszelkiego zetknięcia z rządem, gdzie mu w »papie-

rach« zapisywano »prawosławny« — wołał się wyrzec zarobku.

Z tych to powodów ziemia, choć przeważnie piaszczysta, była w cenie i miała chętnych nabywców. Dopiero pogłoski o wyodrębnieniu sprowadziły stagnację.

Po całym Podlasiu rozsianych jest dużo majoratów; są to majątki polskich magnatów skonfiskowane w 31 lub 63 r., a oddane jenerałom rosyjskim w nagrodę za »pakarenie miatieżników«. Obdarowani, mieszkając stale w Rosyi, majątki pozostawili w rękach dzierżawców przeważnie na dawnych warunkach. Dzierżawy te zwykle przechodzą z ojca na syna, a dzierżawcy mają być dostatni. Obecnie zapadła uchwała nakazująca majątki majorackie wydzierżawiać tylko Rosyanom.

Lud na Podlasiu przed ukazem tolerancyjnym krążące pogłoski — przyjmował zupełnie obojętnie. Cóż dla tych biedaków znaczyła przynależność państwowa wobec ucisku religijnego. Wszak oni i tak wskutek swojego »oporu« byli wyjęci z pod prawa — nie korzystali z opieki, ani z żadnych udogodnień, jakimi państwo otacza jednostkę. Dla nich były »prawa wyjątkowe« — byli łupem oddanym na pastwę carskim czynownikom, z których wyżsi mieli prawie nieograniczoną siłę wykonawczą i szerokie prawa administracyjne. Cóż wobec tego mogło ich spotkać gorszego? Zresztą — nie pojmowali całej doniosłości tego faktu.

Z chwilą jednak, gdy wyszedł ukaz toleran-

cyjny — gdy uzyskali choć tak bardzo względną, ale zawsze swobodę religijną, postać rzeczy się zmieniła. Teraz ten lud całą siłą będzie się bronił przed »ukazem«, który mu zagraża znów »nawracaniem« na prawosławie. Sama utrata Ojczyzny, z którą zżył się od wieków, nie rozbudziłaby zapewne »oporu«, ale obawa nowego pozbawienia wolności religijnej, zjawiające się na nowo widmo prawosławia — może natchnąć chęcią obrony. A wszakżeż lud ten złożył dowody, że praw swoich bronić umie, jest wyćwiczony w »oporze«. Obecnie czując poza sobą szlachtę i mieszczaństwo, dosyć patryotycznie usposobione, stawiałby »opór« jeszcze silniejszy — byłaby to siła tem większa, że — jak lud, tak dzierżawcy, a nawet wielu właścicieli ziemskich znaleźliby się w położeniu rozpaczliwym.

Polak jestem.

Grudzień 1874 roku, tego roku tak krwawo zapisanego w dziejach Podlasia. Cała okolica okryta puszystym, śnieżnym całunem, który słońce zabarwia w przeróżne odcienie; drzewa, otulone sadią, skrzą się brylantowymi blaskami, w powietrzu pełno drobniotkich kryształków, łamiących się w słońcu w tęczowe kolory. Zda się natura cała przybrała się w najpiękniejszą szatę zimową, chcąc uczcić akt — jeden z wielu — męczeństwa Unitów.

Tuż przy gościncu wiodącym z Parczewa do Ostrowa, pod samym Ostrowem, długim łańcuchem rozłożyła się wieś Jamy. Ogromna wieś chłopska licząca sto kilkadziesiąt osad. Od strony goścince rzędem ciągną się »sady« t. j. ogródki owocowe, w głębi widać poszycie stodół, a dalej chaty frontem zwrócone do drogi wiejskiej ciągnącej się równolegle z gościńcem. Z drugiej strony drogi leżą »ogrody« czyli grządki warzywne, dalej bagniste łąki, przez które przepływa rzeka Tyśmienica.

We wsi martwa cisza. Nie słyhać gwizdu dziecięcych głosików, ani śmiechu i przekomarzania młodych, nie gawędzą starzy.

Podlasie już dawno śmiać się zapomniało.

Dziś całe życie wioski skupiło się na małym wygonie, tuż obok gościńca.

Zebrała się tam komisya pod przewodnictwem Gołowińskiego i w otoczeniu kozaków, naprzeciw nich stoją jamczucy zbici w gromadę i... czekają.

Co chwila słyhać wezwanie kogoś z gromady i zapytanie.

— Czyś ty Rusin, czy Polak?

— Polak jestem, na polskiej ziemi urodzony.

— Bieri jewo.

Kozacy obnażają »opornego« — rozciągają na śniegu i zaczyna się egzekucya nahajkami. Po kilkadziesiąt uderzeniach — przerwa. Kozak podnosi za włosy obwinionego i stawia przed komisją.

— Rusin jesteś czy Polak?

— Polak.

— Bieri jewo.

Następuje druga serya nahajek. W miarę odpadania ciała, nahajki kierują się coraz wyżej. Jeszcze jedna przerwa — nowe zapytanie — takąż sama odpowiedź. Po 200 uderzeniach odciągają ofiarę na bok.

W ten sposób »wywołano« dwudziestu.

Teraz jamczucy zaczynają już sami występować z szeregu, gdy doszło do 26, gromadnie kładą się na śniegu, wyzywając oprawców.

Wreszcie Gołowiński zdziwiony i zawstydzony zaprzestaje kaźni.

Komisya odjeżdża. Bardziej poranionych kozacy odwożą do szpitala — zdrowych rodzina zabiera do domu — po chwili wszystko ucieka.

A zachodzące słońce to niemy świadek tej strasznej sceny, spogląda na zabarwiony szkarlatem śnieg i radeby zebrać tę czerwień drogocenną i ponieść w ofierze Stwórcy.

Ale Najwyższy już zliczył krople tej krwi męczeńskiej przelanej za wiarę, bo nazwy Rusin i prawosławny były równoznaczne.

A w wszechświecie nic nie ginie.

Pierwsza Pasterka.

W zacisznym pokoiku wiejskiego dworu na Podlasiu siedziała młoda panienka, czytając coś z zajęciem. Wtem gwałtownie otworzył ktoś drzwi, a do

pokoju jak huragan wpadła, wiejska dziewczynka i rzuciła się na szyję czytającej z głośnym okrzykiem.

— Widziałam paniunciu, widziałam!

— Kogoś widziała Karolciu, czy drugiego takiego narwańca jak ty?

— Ale gdzie tam, panuncia zara się gniewają, a ja taki naprawdę widziałam, taki białeńki, okrągłeńki.

— Co takiego?

— A Pan Jezus w Przenajświętszym Sakramencie.

— Jakto byłeś w kościele? — zadziwiła się panienka.

— A jakże byłam i to na pasterce.

— Jakim sposobem?

— Gregulicha mnie wzieni, przewlekli mnie w Marysin przyodziewek, coby strażnik nie rozpoznał, wyglądałam kiej szlachcianka jaka.

— A w kościele ci się podobało?

— Ach, panuńciu, w kościele to tak ślicznie, że już chyba i w niebie ładniej nie będzie, a świc to się tyło paliło, co nawet u Berka na szabas tyło nima...

— A byłeś na całej Mszy św.?

— A jakże, bliżuchno wielgiego ołtarza, wszystko widziałam, a jak zaczeni grać i śpiewać, to myślałam, co to Anieli w niebie.

— A modliłaś się?

— Nie panuńciu, nijak się modlić nie mogłam, ino ciągiem patrzyłam na wielgi ołtarz, zabaczy-

łam wszystkich modlitw, co mnie panuńcia nauczyli. Gregulicha mnie szturchali to, żeby wstać, to przeżegnać się, to uklęknąć, a ja ino patrzyłam... patrzyłam...

— No i cóż?

— Naraz zrobiło się w kościele tak cichusko, kiej przed wielgą burzą, a potem ksiądz podniósł do góry opłatek taki białeńki, taki okrągłeńki. Jakem obaczyła i pomyślałam, co to Pan Jezus, to mi całkiem dech zaparło i tak mnie zamroczyło, co upadłam na ziemię i już nie wiedziałam, co potem było, ino Gregulicha gadali, com okrutnie płakała.

— I cieszyłaś się, żeś widziała Pana Jezusa?

— Ach, panuńciu, od tej pory to mi tak na sercu leciusko i ciągiem ino myślę... myślę...

— O czym?

— Kiej się boję powiedzieć!

— Dlaczego?

— Bo to może grzech tak myśleć?

— W każdym razie powiedz.

— A nie będą się panuńcia gniewali?

— Nie, nie będę.

— Ciągiem ino tera myślę: jakby to dobrze było, gdyby tak Dzieciątko Jezus narodziło się w naszej obórce. Tam tera miejsca dużo, bo nam strażnicy bydłatka pozabierali za karę, co tatulo nie chcieli Józka i Franka chrzczyć w cerkwi, ino Zydula ostala. To jabym w żłobie naścieliła sianka takiego mićciuskiego, albo i samej konieczyny, a jakże, cobym ta miała żałować. U matusi wyprosiłabym nowiušką plachcie do przykrycia, coby siano nie kłóło, a Matce

Boskiej tyżbym pościeliła, jak się patrzy, i św. Józefowi tyż, niechby widzieli, com Im rada. A ile razy doilabym Zydulę, to zawdy z samego wierzchu odlałabym mlika w dzbanek dla Matki Boskiej. Matuśby się nie gniewali, bo Łysa daje tera dużo mlika, mało nie pelen skopek. A przez cały dzień tobym ciągiem zazirała, czy nie trza co posłużyć. Powidzcie, panunciu, czy to grzech tak myśleć?

— Nie, Karolciu, nie grzech.

„Józikowe“ wesele.

Obrazek z Chelmszczyzny.

— Panuńciu!

— Co takiego?

— Przyszłam po »biały proszek«.

— Któż tam znów chory?

— A Hanka — Józikowa.

— Jakto Józikowa?

— To panuńcia nie wiedzą o Józikowem weselu?

— Nic nie wiem — wiesz przecie, że od świąt jestem chora i leżę.

— Ale to panuńcia wiedzą — co Józik z Hanką jeszcze w kopanie »zmówili się«, co się będą żenić?

— Tak, o tem dawno wiedziałam, mówił mi nawet Teodor, że już prawie całe wiano Hanki powoli niby to sprzedał Bojkom.

— A ino, a ino, przed Godami odprowadzili na-

wet i krowę, śliczną, graniastą; a zara po Godach przyszła i Hanka sama — kiejby nigdy nie.

— Jadam zaruchno naładowali sanie jak się patrzy, nawet przykryli derką siedzenie, a jakże ta siedli se i pojechali.

— I Adam też?

— A jakże — Józik nie znają drogi.

— No i cóż?

— A no, nie było ich cosik bez mała tydzień i dopiro wczora na odwieczarz przyjechali. Jak ino obaczyłam sanie, to zara w skok poleciałam do Bojków, bom była okrutnie ciekawa, jak tyż to tam było za tą »zagranicą«.

— I cóż się dowiedziała?

— Nic — jaszcz nie nadażyli się ogrzać i ozwlec, a już przyleciał chłopak od Teodora dać znać, co strażniki już się zwiedzieli o Józikowem weselu i mają w nocy przyńść zabrać Hanke.

— I cóż oni zrobili?

— Jadamowa ino porwali chustkę i duchem polecili do Waleńczuczki.

— Dlaczegoż do Waleńczuczki.

— Wiadomo — Waleńczuki bogacze, a przytem Mazury, łacinniki, to tam u nich strażniki nie ośmieliby szukać, a choćby ta i przyszli, to Waleńczuczka mogliby powiedzieć, co Hanka je u nich w służbie.

— A cóż Waleńczuczka?

— Ani słyszeć nie kćieli, panuńcia wiedzą, co oni są stara, a mają młodego męża i okrutnie o niego

zazdrośni, kaj oni by tam wpuścili do dom taką chwałką dziewuchę, jak Hanke — ino naraili Bójczysze, coby Hanka poszła do panuńci, to panuńcia ją u siebie w pokoju przetrzymają.

— Trzeba było od razu tak zrobić.

— Pewnikiem coby było lepiej, a tak zanim Jadamowa wrócili, zanim się Hanka zebrała to i nocą zaszła — psy dworskie rozpuszczali i ino Hanka doszła do czworaków, to tak zaczeny ujadać, co aże we wsi było słyhać.

— Żeby była zawołała na kogo z czworaków — byliby ją przeprowadzili do dworu.

— Kiej się okrutnie zlekła tego hałasu, co psy podniosły, i uciekła het przez Waleńczuczkowe pole, kiela parkanu, keiała przez parkan przeskoczyć, coby się dostać do sadu, ale nijak nie mogła — wiadomo parkan wysoki, dopiro na grobli wlaźła na brzozę i hicneła do ogrodu. Ale na grobli śnił taki okrutny, co nie mogła iść, taki musiała przez sadzawkę.

— Ależ tam przereble porąbane!

— To tyż Hanka wpadła w przerebel aż po sam pas — a jak się wygramoliła na lód, to poszła do altanki na górce, ledwo tam wylazła, zagrzebała się w trzcinę, co ją tam zawdy składają na zimę i tak przesiedziała do rana.

— Czemuż lepiej nie przyszła do mnie?

— Ale — od ogrodu kiele dwora pilnuje Murzyn, a ten najgorszy ze wszystkich dworskich psów!

— Wolalabym, żeby mnie pies pogryzł, jak zmarznąć na śmierć.

— Ba, ale Hanka się bojała, co jak psy zaczną

znów ujadać, to strażniki mogą przyńść pode dwór i ją zabrać.

— A cóż strażnicy?

— A przyszli do wsi kiele północkska, myśwa się wszyscy pokładli, ale nikt nie spał, poprzód szukali u Bojków, a zara potem, co to po sąsiedzku u nas. Przetrzęsneli całą chałupę, zabrali matusi sztukę płótna, oselkę masła i dwie kury, potem poszli do obórki, tam tak śturkali fuzyjami we wyżki, raz przy razu, że i mysz by się nie utrzymała, a potem poszli dalej. Jak Hanki nie naleźli, tak okrutnie pomstowali i gadali, co nałożą karę na całą wieś.

— Z jakiej racyi? — nie mają prawa!

— Tak i tatulo gadali, a także i to, co oni wiadać tak na swoją rękę robili to szukanie, bo nie zabrali ani jednego bydłatka, ani gadziny, a jakby mieli rządowe »papiery«, toby nie darowali.

— A cóż Hanka?

— A no przywlokła się po śniadaniu okrutnie zmizerowana, a zimnica to tak nią trzęsie, co aże strach!

— Dziś ma do mnie przyjechać doktór, to ja go tam poślę — powiedz Bojkom, że nie ich to kosztować nie będzie.

— Ola Boga rety — nie róbta tego, panuńciu, a to jak się strażniki zwiedzą, co we wsi był dochtór, to zara jeden przyńdzie pilnować, coby chory nie pomeł i nie pochowali go na naszym cmentarzu, a może i sam pop przyjedzie. Dajta ino tego proszku, co mnie dawaliście panunciu.

— Dam wszystko, ale Karolciu musisz mnie

ręczyć — będziesz sama dawała lekarstwa i pilnowała Hanke.

— Dobrze, panunciu.

„Kryjomy pochówek“.

— Co to Kuźmowa taka zaplakana?

— A co nimam być zaplakana, kiej nima mojej zazuli.

— Jakto?

— Zośkę pochowaliśmy dziś w nocy.

— Co też Kuźmowa opowiada, toż wczoraj rano pędzlowałam jej gardło i poiłam ziółkami — wcale nie wyglądała na umierającą, sądziłam nawet, że ta zaziębiona szkarlatyna nareszcie się przełamie i krosty do dziś się wysypią.

— Możeby ta się były i wysypały, bo taka się zrobiła czerwona, kiejby rak gotowany, ale cóż kiej kiele polnia przysła znachorka, zaczena ją zamawiać, kadzić, a potem kazała mi nanieść w cebrzyk wody ze źródła i kąpała ją caluszką.

— Jakżeż Kuźmowa mogła na coś podobnego pozwolić?

— A kajże jabym mogła się przeciwiać znachorce, a to co nie daj Boże mogłaby na całą wieś nieszczęście sprowadzić.

— Wam już nic gorszego nie mogła zrobić. Zabiła wam dziecko.

— Eh, kiej Zośce była śmierć sądzona, to byłaby i tak pomeła, a znachorka jakby się ozezłościła, to mogłaby w całej wsi zamówić wszystko stworzenie, coby krowy mlika nie dawały, kury jaj nie niosły, a gadzina się nie pasła, a nawet co najgorsze, mogłaby na całą wieś szczury naprowadzić.

— Że też Kuźmowa wierzy w takie gusła i zabobony.

— To nie żadne »zambony«, ino szczyra prawda.

— No, a cóż było z Zośką?

— A no kiedyśwa ją wyjeny z wody, to z czerwonej zrobiła się blada, kiej chusta i trzęsła się jak w frybrze. Potem zaczena okrutnie zipać, zipała, zipała, aże strach było patrzeć, a później to już i zipać przestała i zaczena sztywnić. Jakem to obaczyła, to rzuciłam wszycką robotę i zaczenam ją całować, myślałam, co ją sobą ogrzeję, ale kaj tam, jeszcze przed odwieczyrzem zesztyniała całkiem.

— Ależ to mogło być tylko chwilowe zesztynienie spowodowane nagłym ostudzeniem rozgrzanej krwi, albo też silne omdlenie — trzeba było zaczekać z pochowaniem choć do dzisiaj.

— A ino, miałam może czekać, aże pop i strażniki się zwiedzą i zabiorą ją do cerkwi, a potem pochowają na swoim cmentarzu — niedoczekanie ich, troje dzieci już mi pomarło, a wszyckie leżą na naszym cmentarzu.

— Zośka była taka mała, że strażnicy może nawet o niej i nie wiedzieli; oni najwięcej uwagi zwracają na chłopców.

— Kaj ta nie wiedzieli! Mało to kar napłaciliśwa za to, co nie daliśma ją krzyć w cerkwi.

— No, a powiedzieź jak to było z tym pogrzebem?

— O, z pochówkiem to nam się galancie udało, bo strażniki dziś w nocy szukali u Czeberaków za młodą Czeberaczką, a ona uciekła w krzaki nad rzykę, tak oni całą noc na łące strzylali, tośma cięgiem wiedzieli, kaj są. Trumienkę miał stary Marek gotową; rychtyk na Zośkę pasowała, obleklam ją w co najlepsze szmatki, dałam do rączek krzyżyk, wyglądała, kiej janiolek. Aleśma nie mogli jechać, ani iść gościńcem, bo tam kręcili się strażniki, tylko poszliśwa po przez nasze ogrody, kiele dworskiego śladu a potym, łąkami; dobrze, co dawno nie było dyszczu, to można było iść przez łąki. Ja kciałam cięgiem sama nieść trumienkę, bo mi okrutnie żal było, ale nie dałam rady, tośma się mieniali z moim i Jantkiem.

Jakieśwa przyszli na cmentarz, to było tak wi-dniuśko, kiejby w dzień, bo miesiąc świecił, ja stałam ode drogi i pilnowałam, coby strażnik nie nadszedł, a mój z Jantkiem kopali grób. Jak już ułożyli trumienkę w ziemi, to taka me okrutna żałość porwała, co upadłam na grób i zaczenam strasznie lamentować; dopiro mój z Jantkiem zakręcili mi głowę zapaską, coby mego lamentowania nie było słyhać i odciągneni na bok. Myślałam, co pomrę ze żałości, a oni tymczasem poświęcili trumienkę święconą wodą (a jakże, mieliśma doma krzynkę) i potym usypali mogilkę, jak się patrzy. Jak skończyli, to mnie ozwiązali, bom się już mało nie zatchnęła, pomodliliśwa

się wszyscy i wróciliśwa do dom o świtanu. Dobrze, co choć było widno, to wima, kaj Zośka leży; będę mogła leliji jej nasadzić. A tera to ino patrzyć, jak się strażniki o wszyćkiem zwiedzą i zaczną nas nachodzić, coby placić karę za »kryjomy pochówek«.

Na „Zielną“.

Słońce dnia sierpniowego już ubiegło duży kawal drogi, a teraz świecąc w całej pełni napelnia blaskiem podlaskie równiny. Było już wszędzie; na polach prawie zupełnie ze zbóż ogołoconych i w lesie, z którym przez długie lata ciężką walkę staczało, a teraz nad przerzedzonym, a temsamem ujarzmionym objęło władzę, złocistemi plamami znacząc swój zabór; było i w zagrodach chłopskich, a widząc tam spokój święteczny, przybiegło roztaczać swe palące promienie po piaszczystych drogach Podlasia.

A na drogach tych rojno. Ze wszystkich stron spieszy lud podlaski odświętnie przybrany do najbliższego kościoła.

Od kraśnych welniaków i kwiecistych snopów aż barwno na drodze. Wszak to dziś Zielnej, więc każda kobieta dźwiga olbrzymi pęk ziół: czego tam niema! I zboża rozmaite i jarzyny i owoce, wszystko, co tylko rodzi się w wiejskiej zagrodzie, musi być dziś poświęcone, a i o polnych ziołach nie zapomniano: jest mięta, melisa, macierzanka i tyle, tyle innych

ziół, a wszystko to przybrane kwieciami z ogródka; czerwienieją więc malwy, astry i balsaminy, a nad niemi górują słoneczniki i proso tureckie.

Każda gospodyni miłosnem okiem spogląda na swój skarb, rzucając ukradkiem spojrzenia badawcze na inne bukiety — czy czasem który nie jest ładniejszy.

A w kościele już na godzinę przed sumą ścisk tak wielki, że zdaje się, iż mury nie wytrzymają tego naporu, a od zapachu ziół — duszno, że oddychać trudno.

Ksiądz proboszcz kazał drzwi otworzyć, widąc więc z cmentarza górną część wielkiego ołtarza.

Na cmentarzu pełno Unitów. Im do kościoła wstęp wzbroniony, więc zgromadzili się tutaj i cały ogromny plac wokół kościoła jest przez nich zajęty. Głowa przy głowie, zbici w jedną masę, wzrokiem zachwyconym wpatrują się w mury. Znać na ich twarzach, że duchem przebili zaporę dzielącą ich od widoku »Chleba Pańskiego« i serca ich korzą się przed wielkim ołtarzem, gdzie jest właśnie wystawienie Przenajświętszego Sakramentu.

Gdy drzwi główne otwarto, tłum cały upadł na kolana i powiał szmer radosny. Matki podnoszą w górę dzieci, coś im szepcząc do ucha, a dziecińy smutne swe oczęta zwracają ku »Bozi«, jakby skarżąc się na ciężki swój los.

Przez cały czas trwania sumy ludzie zebrani na cmentarzu są jakby w zachwyceniu. Nie zwracają uwagi na palące promienie słońca, na ścisk straszny, na ostre kamienie kaleczące im kolana. Oni

nie tego nie czują. Wpatrzeni w wielki ołtarz, lub w mury go zasłaniające, modlą się tak gorąco, tak szczerze, jak tylko człowiek w nieszczęściu modlić się umie. Z czoła im spływa pot kroplisty, mieszając się ze łzami zalewającymi oczy, ale oni o tem nawet nie wiedzą. Słowami nieuczonemi płynącemi wprost z serca starają się Matce Najświętszej wyjawić swoje skargi.

W kościele zaczyna się ruch. Po skończonem nabożeństwie lud rozstępuje się na dwie strony, ażeby zrobić miejsce dla księdza święcącego ziola.

Po odmówieniu przepisanych modlitw proboszcz wziął z rąk posługującego chłopca kropidło i zaczął święcić lud i ziola. Doszedłszy do drzwi głównych, zawahał się chwilę, ale nagle, jakby ożywiony tajemną siłą, zanurzył kropidło głęboko w wodzie święconej i, stanawszy w drzwiach kościoła, na trzy strony pokropił nią lud kornie klęczący, poczem szybko cofnął się w głąb kościoła i dalej załatwiał swą czynność.

A między ludem podlaskim zapanowała radość niewypowiedziana.

Jakto! więc i oni dostąpili tego szczęścia! i oni tak jak tamci uprzywilejowani, mający prawo wstępu do kościoła, mają »ziele« poświęcone! i oni będą mieli na cały rok talizman zabezpieczający od chorób, »uroków« i innych nieszczęść. Ci, którzy poczuli na swych czołach kroplę drogą, nie śmia jej dotknąć, zdaje im się, że są już obmyci ze swoich win i grzechów, wszak są pobłogosławieni przez księdza wodą święconą. Matki zbierają krople upadłe na ubranie i kreślą nią krzyż na głowach swych dzieci.

Tłum cały jak jeden człowiek pada na kolana i gorąco, gorąco dziękuje Bogu za tę łaskę niespodziewaną.

A tymczasem proboszcz idąc do plebanii ma twarz dziwnie rozjaśnioną. »Ha« mówi do siebie, »choćby nawet strażnik i zaskarżył mnie przed naczelnikiem, to powiem, że święciłem zioła obywatelom, wszak za całym tłumem tych biedaków siedziała w cieniu pod murem okoliczna szlachta«.

„Opętana“.

Izba w wiejskiej chacie o niskim pułapie podpartym poprzecznymi belkami, za którymi pełno »ziela«, ściany świeżo wybielone na »sino«, obwieszane obrazami także w ziele przystrojonymi. W małym okienku pełno siwych doniczek z kwiatami; jest boże drzewko, wiecznie kwitnąca panna młoda, rozmaryn i fuksya czerwona, ot zwykli goście wiejskich okienek, kwiaty proste i wytrwale, jak dusza chłopska. Nad okienkiem kawałeczek białego muślinu, zalotnie podpięty czerwoną wstążką, imituje firankę, pod oknem stół przykryty kawałkiem białego płótna, na nim chleb czarny, sól i nóż. W głębi łóżko wysoko zasłane pierzyną i poduszkami w kraciastych poszwach, pod ścianami duże skrzynki, ławki i żarna, przy drzwiach wchodowych »kredens« czerwony, u góry otwarty z ustawionymi rzędem barwnie malowanymi miskami, w wydrążeniach półki sterczą drewniane łyżki, dolna

część kredensu zamknięta, tam mieszczą się zapasy gospodarskie, w rogu »myśnik«¹⁾ obok wiadra, stągiewka z wodą i beczka do parzenia plew dla »gadziny«. Najwybitniejsze miejsce zajmuje duży o wielkim okapie komin, na którym wesoło trzaska ogień rozłożony z drobnych gałęzi, przy nim dwa garnuszki z barszczem i pęczakiem²⁾ z fasolą, w małym tygielku na trzech nóżkach skwierczy słonina, którą miesza zawzięcie młoda, ładna kobieta stojąca obok komina.

Na skrzynce siedzi panienka ze dworu, rozgląda się po izbie i woła:

— Bardzo tu ładnie u ciebie, Marynko, tak wszędzie czyściutko, ale ja właściwie nie po to dziś przyszłam.

— A cośta kcieli, panuńciu, powiedziecie, może wam co trza?

— Dziś rano ważyłam zboże w spichrzu; jak przyszła kolej na twojego Antka, tak prosił mnie, żebym koniecznie do ciebie przyszła, bo jak mówi, ciebie coś opętało. Co ci to, Marynko, powiedz?

Na te słowa młoda kobieta odsunęła szybko tygielek ze słoniną na sam brzeg komina, wyjrzała do sieni, zasunęła drzwi na zawore, a ukłękawszy koło panienki, oparła głowę na jej kolanach i wybuchnęła spazmatycznym płaczem.

Panienka pozwoliła jej się wypłakać, gładziła ją po ciemnych włosach, z których chusteczka osu-

¹⁾ Myśnik — cebrzyk do zmywania na wysokich nogach.

²⁾ Pęczak — jęczmień otluczony w stępie.

nęła się na plecy i czekała. Po chwili gwałtowne łkanie zaczęło ucichać, przeszło w cichy płacz, wreszcie Marynka podniosła zapłakaną twarzyczkę do góry.

— No, teraz powiedz, Marynko, co ci dolega?

— Kiej to długa historia, a panuncia może nie mają czasu?

— Twój Antek pojechał z dworskiem zbożem do miasta, więc nie wróci tak prędko, a do naszego obiadu też jeszcze daleko, mamy więc obydwie dosyć czasu.

Marynka zaczęła swą spowiedź.

— Panuncia wiedzą, co my z Jantkiem jeszcze »łońskiego« roku zmówiliśmy się, co będziemy się żenić, ale coż ślub »krakowski« zagranicą dużo kosztuje, wiadomo, stówką się nie obejdzie, a my nie mieliśmy pieniędzy, to się to i ciągnęło tyle czasu. Aż tu kiele zapust gruchnęło po wsi, co w sosnowickich lasach jakiś ksiondz krzci, spowiada i śluby daje. Jantek, jak ino to usłyszał, to się zara zwiedził dobrze, kej to, i przykazał mi, cobym się ładowała do drogi.

— Trzeba było przyjść do mnie się poradzić.

— Byłam, a jakże, ale mi pedzieli w kuchni, co panuńci nima we dworze, bo uścińowskie państwo przyjechało i zabrało panuncję do siebie.

— No to mogliście do mnie i tam trafić.

— A kajże by my śmieli panuncję nachodzić w gościnie, czy to my nie wima, jak to strażniki nagładają za państwem, coby »opornych« nie pouczali. A to, co nie daj Boże, jeszcze byśmy mogli na panuncję jakie nieszczęście sprowadzić.

— No więc mów, cóżeście zrobili?

— A no pojechaliśmy. Jakieśma przyjechali na tę gajówkę, gdzie ten ksiondz siedział, to Jantek ino dał trochę obroku koniowi i poszliśmy za gajowym do stancyi, gdzie był jakiś pan po ślachecku ubrany i pyta nas. — »A wy z czem, do krztu, spowiedzi czy ślubu?« — Tak, my gadamy co do ślubu. — »Pietnoście papirków, inaczej nie będzie«. — Mnie zara cosik tkneno, ale Jantek wiedział, co ślub tyle kosztuje i miał pieniądze w zanadrzu, tak ino wyjon i podał, ten pan przeliczył i zara gada. — »No to spieszcie się, bo mogą strażnicy nadjechać«. — Zara tyż gajowy przyniósł dwie świce zapalone, krzyż i zazon się ten niby ślub. Panuncia mnie uczyli jak to wszystko je przy ślubie i co trza gadać, tak ja przez całą drogę powtarzałam se i Jantka uczyłam, ale cóż kiej ten niby ksiondz całkiem inaczej wszystko gadał i pytał się, to nam się całkiem pomyliło i nie wiedzieliśmy jak gadać, aż musiał nam gajowy poddawać. Jak już było po ślubie, tak ja se przypomniałam, co panuncia gadali, jako przed ślubem zawdy je spowiedź i mówię — a spowiedź? »Spowiedź osobno pięć papirków«. — Myśwa już pieniędzy więcej nie mieli, tak ja gadam, co panuncia mówili jako spowiedź powinna być przed ślubem, a on sie okrutnie ozezłościł i peda: — »A kiedy twoja panuncia taka mądra, to czemu ci ślubu sama nie dała«. — Jantek się jeszcze upomniął o »papiry«, ale on, jak nie krzyknie — »A ty co sobie myślisz, że ja za głupie pietnaście papirków będę się narażać i papiry

wydawać». — Kazał nam się zabierać coprędzej, a koń se tymczasem trochę podjadł, takeśwa zara pojechali.

Marynka westchnęła ciężko i zatrzymała się chwilę.

— I odtąd panunciu zaczena się moja męka. Jantkowi nic nie gadałam, bo co go będę po próżnicy markocić, ale sama to se ciągiem tak rozmyślałam, co to nie był prawdziwy ksiondz i co ten nasz ślub nic nie wart. Powiedzcie, panunciu, czy ja ślubna czy nie? Bo ja już od rozumu odchodzę, tak ino ciągiem o tem myślę. Jakieśma wrócili do dom, to kciałam ostać se jeszcze trochę u rodziców, ale Jantek mnie zabrał do swej chałupy, a ja se z temi myślami nijakiej rady dać nie mogę.

Panienka zadumała się głęboko i dopiero po chwili zapytała:

— Ale przysięgę przed krzyżem i przy świadkach złożyliście oboje?

— A jakże, przysięgaliśwa.

— No to w takim razie możesz być spokojną i uważać się za ślubną i prawą żonę Antka. Wy tu na Podlasiu znajdujecie się w położeniu przewidzianem przez Sobór Trydencki, uświęcający przysięgę małżeńską zwolnioną od wszelkich form przyjętych do Sakramentu, tam, gdzie wskutek prześladowania i przemocy właściwego proboszcza niema.

— Doprawdy panunciu, doprawdy?

— Wierzaj mi, Marynko, rozmawiałam o tem z proboszczem, wtedy gdy mi opowiadał o tym oszuście, który udaje księdza i od was biedaków wyludza pieniądze; podobno dużo ludzi w ten sposób oszu-

kał. Jednakżeż przysięga na krzyż i wobec świadków ma znaczenie ślubu. Jak będziesz kiedy miała sposobność być u spowiedzi, to wtedy wyznaj wszystko księdzu, a on ci poradzi, co masz dalej robić. Teraz zaś uspokój się i bądź dobrej myśli.

— Dobrze coście przyszli, panunciu, a to zara mi na sercu ulżyło, a już nie mogłam se rady dać z tym myślunkiem, mało nie oszalałam. Bóg wam zapłać, panunciu.

„Ludwikowe“ wesele.

W jadalnym pokoju we dworze zanosi się na burzę. Pierwsze chmury zaczęły się gromadzić już przy zupie, która była wprost niemożliwa; dziedzic z niechęcią odsunął talerz, spojrzał znacząco na żonę i czekał... ale sytuacja nie polepszyła się wcale; paszteciki były przypalone, zając wysuszony, a legumina przypominała klajster do tapetowania; gdy i czarna kawa w właściwej porze nie zjawiała się na stole, dziedzic do reszty stracił cierpliwość i wysłał żonę, ażeby dobrze »zmyła głowę« kucharce Józefowej.

Dziedziczka przeszła przez kredens, sionkę i stanęła w drzwiach kuchni. Tu jednak przedstawił się jej oczom niezwykle widok. Kuchnia »pańska«, odznaczająca się zawsze idealnym porządkiem, wyglądała gorzej od »ludzkiej«. Naczynia kuchenne wałyły się porozrzucane po stołach, ławkach i sieni, gdzie

prosięta na wyścigi z psem i kotem wyręczały kucharkę w zmywaniu; w kącie płakała mała dziewczyna, a na blasze, o zgrozo, kawa w imbryczku w najlepsze kipiała sycząc przeraźliwie.

— Gdzie matka? — ostrym głosem spytała dziewczeczka.

— Matusz duchem polecieł do miasta — zaszło chało dziecko.

— Jakto bez pozwolenia?

— A bo Michalicha dali znać, co przed Maryny chałupę zajechali strażniki bryczką od popa w parę koni i z muzyką, zabirają Marynę i Ludwika, ma być ponoś Ludwikowe wesele. Gadali, co sama popadya będzie Marynę ubierała do ślubu, a po ślubie ma być gościna na plebanii.

Gniew dziedziczki minął bez śladu, wzięła z blachy imbryczek z kawą i wolnym krokiem wróciła do pokoju, rozmyślając nad położeniem biednej kobiety.

Józefowa była Mazurką, w »papierach« nie miała ani razu zapisanego jakiegokolwiek zetknięcia się z Unitami i mogła zupełnie swobodnie wyznawać religię rzym. katolicką.

Za życia męża mieszkała w miasteczku, gdzie mieli warstat stolarski i dobrze im się powodziło. Po śmierci Józefa, nie mogąc sama wyżywić trojga dzieci, zgodziła się do dworu za kucharkę; starszy Ludwik był przy pokoju, młodszy Józik poganiał konie w kieracie, a mała Michalina kręciła się po kuchni. Tak było przez lat kilka. Wreszcie Ludwik

przeskrobawszy coś w pokoju, ze strachu przed harapem dziedzica zemknął ze dworu.

Była wiosna, w cegielni pod sąsiedniem miasteczkiem rozpoczynała się właśnie robota — płacono dobrze, udał się więc tam i został chętnie przyjęty. Ale cóż, chłopakowi rozpróżnionemu w lekkiej służbie, nie smakowała ciężka i mozolna praca w cegielni — miał ochotę znów szukać szczęścia gdzie indziej.

Tymczasem upodobała go sobie dziewczyna z tejże wsi, Unitka, już starsza i nieładna, ale dobra robotnica, od kilku lat stale w cegielni pracująca. Zaproponowała mu spółkę. Ona zwoziła i wyrabiała glinę, nakładała w formy, a Ludwik gotowe już cegły woził do suszarni — zarobionymi pieniędzmi dzieliła się z nim skrupulatnie. »Spółka« podobała się Ludwikowi bardzo i przez całe lato wytrwał w cegielni, ale zbliżała się jesień, a z nią pobór do wojska.

Ludwik oddawna był na to przygotowany i zżył się już z tą myślą, ale »spółniczka« Maryna słyszeć o tem nie chciała. Zaczęła więc z początku naradzać się ze strażnikami, potem z popem, aż wkońcu zaproponowała Ludwikowi, że — jeżeli się z nią ożeni, to ona mu wyrobi »biały« bilet uwalniający na zawsze od wojska i przepisze na niego swój grunt z chałupą. Grunt wprawdzie od dawna był w zastawie, ale Maryna obiecywała go wykupić i czyste bez długu gospodarstwo oddać na własność przyszłemu mężowi. O tem, gdzie ten ślub będzie się odbywać, na razie nie było mowy. Ludwik, jako rzym. katolik, nawet

nie pomyślał o możliwości brania ślubu w cerkwi prawosławnej.

Gdy chłopak polknął przynętę w postaci zasobnego gospodarstwa i pogodził się z myślą o żonce niezbyt powabnej i młodej, Maryna zaczęła powoli podsuwać myśli o popie, cerkwi i t. p. Ludwik z początku oburzył się strasznie, gdy jednak Maryna zaczęła namowy swe popierać dowodami materialnymi w postaci zegarka, ubrania i innych podarków, chłopak powoli zaczął mięknać, aż kiedyś podpojonny, złożył przy strażnikach obietnicę, że — choćby w cerkwi — z Maryną ślub weźmie.

Wymusiwszy podstępem takie zobowiązanie, strażnicy i pop zaczęli już jawnie działać, aż wreszcie pewnego dnia pop przysłał swoją furmankę, ażeby ich do ślubu przywiozła.

Gdy Józefowa wybiegła, tak jak stała przy ogniu, na podwórze i wydostała się na gościniec, już weselników tam nie spotkała, tylko zdaleka dolatywały dźwięki muzyki i turkot bryczki oddalającej się w stronę miasta. Widząc, że na gościniec już ich nie dogoni, skręciła koło stodoły, okólnika, przez parobskie ogrody i puściła się na przelaj przez łąki. W ten sposób zmniejszyła sobie odległość o dwie trzecie drogi.

Z początku ostry jesienny wiatr przejmującym chłodem ziębił ją przez cienki kaftanik, po chwili jednak już zimna nie czuła. Nie znając drogi przez łąki i ścieżki wydeptane w mokradłach, zaczęła co chwila zapadać po kolana i głębiej w bagniska,

wydobywała się z trudem, pełzała, podnosiła i znów zapadała, pot kroplisty spływał po jej twarzy, chusteczka z głowy osunęła się na plecy, a siwe kosmyki wiatr rozwiewał. Wreszcie natrafiwszy na wydeptaną drożynę, już pędem pobięła dalej, aż wkońcu na wpół omdlała dotarła do gościńca w chwili, gdy z choinki ukazała się bryczka z weselnikami.

Józefowa stanęła w poprzek drogi i nie zważając na niebezpieczeństwo, schwyciła pierwszego z brzegu konia za wędzidło, a drugą ręką silnie przytrzymała dyszel — bryczka stanęła. Strażnik powożący, widząc niespodziewaną przeszkodę, śmignął ją z całej siły batem po twarzy, wystąpiła sina pręga i krew trysnęła, ale Józefowa zdawała się nie czuć nawet tego.

Zwróciła zakrwawioną twarz w stronę bryczki i zaczęła najczulszymi wyrazami przemawiać do syna. Zaklinała go na pamięć ojca, przypominała jego nauki, przedstawiała straszne męki piekielne, czekające dobrowolnych odstępców prawdziwej wiary, wreszcie groziła przekleństwem macierzyńskim. Ludwik z początku, zobaczywszy matkę, zerwał się i miał ochotę wyskoczyć z bryczki, ale siedząca obok Maryna silnie przytrzymała go wpół, a strażnik za ręce, usiadł więc posłusznie, tylko twarz mieniła mu się bólem.

Tymczasem woźnica rozwścieczony stawianym oporem, stanął na bryczce i z całej siły okładał batem plecy kobiety; przez cienki kaftanik zaczęła się wkrótce krew przedostawać, ale Józefowa, ani uwagi na to nie zwracając, coraz czulej przemawiała do syna. Wtem strażnik obrócił w rękę bat i bicz-

skiem z całej siły uderzył ją po rękach. Cios był silny, kobieta puściła konia i zwróciła się twarzą do swego prześladowcy, który, korzystając z tego, grubą rękojęcią wymierzył jej drugi cios, tym razem pomiędzy oczy. Józefowej wysunął się z rąk dyszel i padła zemdlona, a strażnik zaciął konie i popędził dalej, ciężką bryczką gruchocząc nogi leżące.

Na ten widok w Ludwiku obudziło się serce, silnie odepchnął Marynę i chciał wyskoczyć na drogę, ale wobec przeważającej siły zamiar jego był daremny. Dwu strażników, muzykanci i Maryna zaczęli się z nim szamotać, przytrzymując z całej siły, wreszcie starszy strażnik wyjął z kieszeni kajdanki i zadzwonił mu niemi przed oczami. Ludwik ochłonął, usiadł na bryczce i już bez oporu dał się wieźć do cerkwi.

A na drodze leżało krwią zbroczone ciało zemdlonej kobiety.

W lesie.

Wązką leśną drożyną toczy się wózek zaprzężony w tęgiego siwka, powozi niemłoda kobieta uważnie rozglądając się po lesie.

A las ten, to ostoja biednych Unitów, ostatnia ucieczka przed strażnikami i wojskiem. Niezbyt stary, ale zwarty i gęsto podszyty olszyną, ciągnie się spadzisto przez moczarowate łąki, aż do rzeki. Niebezpieczna pułapka dla obcego przybysza. Kto nie umie

się zorjentować w jego wydeptanych ścieżynach, moczarach i topieliskach pokrytych grubą warstwą zielonego mchu — ten śmiałość swą może życiem okupić.

Z gęstwiny leśnej wychyla się zatrwożona postać wiejskiej dziewczynki.

— Cóż ty tu robisz, Józiu?

Dziewczę mileży zakłopotane, wreszcie...

— Kiej się boję powiedzieć — szepce nieśmiało.

— Dlaczego?

— Bo może pani dziedziczka komu powiedzą?

— Nie, nie powiem.

— A to widzita, nosiłam tatusiowi jadło.

— Przecież twój ojciec zesłany na Sybir.

— A no, byli tam, ale im się okrutnie cknilo za nami i tęsknica go mordowała, tak rzucili wszystko i wrócili do nas, a tera przed strażnikami kryją się w lesie.

— A ty mu nosisz pożywienie?

— Czasem ja, czasem matuś.

— A nie boisz się — sama w lesie tak daleko od wsi.

— Co się nimam bać, ale mi okrutnie żal tatusia.

— A ojciec opowiada ci czasem, w jaki sposób stamtąd się wydostał?

— A jakże, jak ino se pojedzą, to zara zaczynają wszystko dokumentnie opowiadać, jak było.

— Usiądź więc koło mnie, ja zawrócę do domu a ty mi przez drogę opowiesz, jak ojciec się tu dostał. — Po chwili siwek raźnie spieszy w stronę wioski, a dziewczę zaczyna swą opowieść.

— Jak tatusia i jeszcze innych »opornych« zabrali, to ich pognali na piechcie, aż do Białej. Tam ich jeszcze bili i namawiali, żeby się podpisali na prawosławie, ale nikt nie chciał, tak wszystkich wsadzili na maszynę i powieźli do takiego wielkiego miasta, a stamtąd znów na piechcie w kajdanach gnali ich okrutny kawał drogi, aż do orenburskiej gubernii. Tam ich puścili na wolność i dali szmat ziemi. Ale nie było statków, ani mieszkania, tak tatuś, co to są sposobni i znają stolarkę, chodzili se na robotę i mieli dobry zarobek i poważanie. Cóż kiej im się okrutnie cknęło za nami, tak ino zebrali trochę pieniędzy, to zara se kupili »papiry« od takiego, co już mu wyszło na wolność, rzucili wszystko i zaczęli iść z powrotem. Mieli »papiry«, to choć o proszonem, ale szli śmiało, dopiero na Podlesiu musieli się kryć, a jak przyszli do nas, to nawet wcale nie chcą siedzieć w chalupie, ino ciągiem uciekają do lasu.

— I gdzież ojciec się ukrywa?

— A w starej smolarni, w tym największym dole wyrobili se taką galantą izbę, przykryli faszyną i ziemią, to niktby nie rozpoznał, co tam człowiek siedzi, a zresztą strażniki i wojsko okrutnie się boją naszego lasu — już niejeden tam śmierć znalazł.

— A cóż będzie, jak przyjdzie zima?

— O, tatuś se wyrobili i komin z gliny, a jakże, a w pułapie między faszyną je dziura, to dym se będzie tamtędy wychodzić.

— Ale jak zamarzną bagna i moczary, to mogą

czasem strażnicy i tam się zapuścić, to wtedy po dymie wysłedzą ojca.

— Tatuś gadają, co jakby go złapali i zesłali, to oni jeszcze raz uciekną i do nas wrócą.

Ojciec nasz...

Mała polanka w lecie zewsząd otoczona ciemnym zwartym lasem. Na ściętym pniaku siedzi młoda panienka, a wokół pełno jasnych i ciemnych główek; pootwierane buziaki, zachwycone oczęta wskazują, z jakim zajęciem słuchają opowiadania.

Panienka mówi im o małym Jezusie.

Wreszcie skończyła.

— No, teraz pacierz... Kto najlepiej umie?

Dzieci jedno przez drugie zaczynają recytować.

Ojciec nasz... na ziemi... chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj... Amen...

— Wstyďte się, tyle czasu was uczę i jeszcze nawet »Ojciec nasz« nie umiecie, ty Zosiu, jako najstarsza, mów pierwsza.

Ojciec nasz...

Wtem z lasu wybiega zadyszany chłopak.

— Panuńciu, uciekajta... ktosik idzie... może strażnik...

W jednej chwili dzieci rozbiegają się po lesie. Panienka zostaje sama.

Co robić — czy iść za przykładem dzieci — czy pozostać na miejscu. Jeżeli spotka się ze strażnikiem, on zapewne będzie ją podejrzuwać i śledzić —

lepiej tu pozostać — do tej polanki z obcych nikt drogi nie zna.

Podniosła się, wzięła mały garnuszek, pozostawiony przez któreś z dzieci i zaczęła zbierać jagody.

A poziomki śliczne, czerwone wyglądały z pod listków, ciekawe, co słychać na świecie. Zaledwie zdążyła zebrać kilkanaście, gdy usłyszała chrzęst lamanych suchych gałęzi i ciężkie kroki.

Odwróciła się i krzyknęła przerażona.

Przed nią stał starzec z rozwichrzoną siwą brodą i włosami, ze wzrokiem pałającym, utkwionym w nią z niemą prośbą.

Chwila, a ucieknie wystraszona.

Ale już słychać zewsząd głosy.

— Nie bójta się, panuńciu — to Wojciech, Teodorów ojciec.

Teodorów ojciec — panienka wie dobrze, kto jest ten biedak, zbieg z »posielenia«, tułający się po lasach.

Zbliża się faworytka Karolcia.

— Nie bójta się, panunciu, oni już dawno keieli przyjsć posłuchać pacierza, bo gadają, co całkiem przepomnieli, ale my się bali, coby się panuńcia nie gniewała.

Ach, więc ci biedacy nawet jej się boją.

W jednej chwili siedzi na swej zwykłej katedrze profesorskiej i cała drżąca i wzruszona, głosem od lez nabrzmiałym rozpoczyna.

— Ojcze nasz...

— Ojcze nasz... powtarza starzec, a lzy, jak groch spływają po zwiędłej twarzy i toną w rozwichrzonej brodzie.

CZĘŚĆ II.

Oczyszczanie obrządku.

Pierwsze objawy prześladowania Unii w Chełmszczyźnie w formie t. z. »oczyszczania obrządku« zaczęły się po r. 1830, gdy na stolicy biskupiej (unickiej) w Chełmie zasiadał bp. Filip Felicyan Szumborski (od r. 1830—1851), człowiek chory i stary, ale niewzruszonej wiary i pobożności.

Przedewszystkiem rząd odłączył zarząd interesów unickiego obrządku od spraw obrządku łacińskiego, a utworzył wydział dla spraw unickich przy kom. rządowej, wyznań i oświaty, pod zarządem dyrektora głównego (zawsze schyzmatyka) i naczelnika wydziału unickiego.

Następnie zaczęto zaprowadzać carskie wrota na wzór schyzmatyckich, pod pozorem uzupełnienia obrzędu wschodniego — czemu biskup nie uważał za roztropne opierać się. Dalej Szypow, prezes kom. wyz. i ośw., zażądał zamienienia mszałów wydanych na mocy upoważnienia Synodu Zamojskiego — na mszały schyzmatyckie, biskup oparł się temu, jak również wysyłaniu alumnów do schyzmatyckich akademii, za to rząd zabronił wysyłania do akademii warszawskiej.

W r. 1841 pod naciskiem rządu wydaje biskup list pasterski nakazujący księżom zaprowadzić nastę-

pujące zmiany przy mszy św.: 1) nie przenoszenia mszału z lewej ku prawej stronie, 2) nie obracania się przez kapłana w czasie mszy do ludu przed »Świątyni Boże« i »Iżę Cheruwymy«, 3) obracanie się do ludu na »mir wsim«, 4) w czasie przenoszenia zertownika ma diakon patenę trzymać nad głową.

Gdy jednakże rozkaz ten wywołał bardzo złe wrażenie tak na duchowieństwie, jak między ludem, a papież Grzegorz XVI. zalecił jego odwołanie, biskup Szumborski w r. 1844 drugim listem pasterskim odwołał poprzedni.

W r. 1858 dyrektor kom. wyzn. i ośw. Muchanow zaprowadził po szkołkach schyzmatycki katechizm i zmusił biskupa Teraszkiewicza do przyjęcia projektu reorganizacji seminarium duchownego chełmskiego. Na mocy tego projektu zwierzchnictwo sem. duch. otrzymał dyrektor kom. rz. wyzn. i ośw. z prawem mianowania rektora, a profesorów przedstawiał biskup do zatwierdzenia rządowi. Język wykładowy zaprowadzono rosyjski.

W r. 1860 na naleganie Rzymu biskup Teraszkiewicz w piśmie do Muchanowa odwołał swoje zatwierdzenie tych ustaw — niestety bez skutku.

W r. 1866 biskupa Kolińskiego za opór, jaki stawiał księciu Czerkaskiemu (nie chcąc wbrew woli ludu i duchowieństwa zaprowadzać nauk i kazań w języku małoruskim), wywieziono do Wiatki, gdzie na drugi dzień po przybyciu nagle umarł.

Narzucony przez rząd ks. Wójcicki, sprowadzwszy sobie do pomocy księży zbiegów z Galicyi, zaczął powstawać przeciwko wszystkiemu, co Synod

w Zamościu (r. 1720) zatwierdził. Zabronił kazań polskich po cerkwiach, polecił wyrzucić organy, znieść godzinki, koronki, różańce, skaplerze, gorzkie żale, kolendy i t. p. Strażnicy pilnowali, czy polecenia te są spełniane.

Lud oparł się tym nowościom, nie chciał słuchać ruskich kazań, nie dał ruszać organów i, jak dawniej, śpiewał polskie pieśni. Zabroniono śpiewów polskich w kościele, lud zbierał się na cmentarzach, w kaplicach, pod krzyżami lub w domach i tam się modlił i śpiewał, aresztowany za to, śpiewał w drodze do więzienia i w więzieniu. Zaczęło się prześladowanie tych księży, którzy nie chcieli wprowadzać nowości i ludu broniącego praw swoich, ale lud płacił kary, znosił prześladowania, a na zmiany przystać nie chciał.

W r. 1867 wyszedł ukaz zabraniający duchownym obojga obrządków wszelkiego duchownego jednoczenia się; ani łacińscy księża w unickim, ani unicy w łacińskim kościele żadnych obrzędów religijnych spełniać nie mogli, a tem samem i lud unicki żadnych Sakramentów przyjmować w łacińskim kościele nie mógł, gdyż duchownym łacińskim surowo to było wzbronione.

Lud, przywykły uważać za jedno i to samo obydwa obrządki, boleśnie bardzo to odczuł.

W r. 1868 rząd przedstawił Stolicy Apostolskiej na biskupa Chełmskiego ks. Michała Kuziemskiego, oficjała konsystorza metropolitalnego lwowskiego, który był znany jako wróg narodowości polskiej. Papież nie mając żadnego rażącego faktu przeciw jego

osobie, ani też wyboru, prekonizował go na biskupa chełmskiego.

Nowy biskup listem pasterskim potwierdził wszystkie postanowienia Wójcieckiego, zabraniające polskich śpiewów, nawet w kaplicach i pod krzyżami.

Następnie zaprowadził czytanie ewangelii we mszy św. zawsze przed carskimi wrotami tyłem do ołtarza i nie klękania, ale kłaniania się.

W roku 1869 wydał list pasterski nakazujący proboszczom wykazanie wszystkich Unitów, którzy od najdawniejszych czasów przeszli na obrządek łaciński.

W r. 1871 rząd usunął biskupa Kuziemskiego, a na jego miejsce nazначzył ks. Popiela, katechetę z Tarnopola (zbiegłego przed grożącą mu karą).

Objawszy zarząd dyecezyi, Popiel otrzymał ukaz pozwalający »użyć wszystkich środków, aby tę sprawę przeprowadzić« (przeprowadzenie z Unii na prawosławie). Sprowadził księży z Galicyi, zaprowadził w katedrze wszystkie obrzędy na wzór prawosławnych. Twierdzeniem, że — »idzie o obrzędy, a nie o religię«, zachęcił niektórych księży (z Galicyi) do naśladowania jego nabożeństw, rozsławszy jednocześnie dokładne instrukcje gubernatorom: siedleckiemu i lubelskiemu.

Lud przestał uczęszczać do tych cerkwi, gdzie było nowomodne nabożeństwo, tłocząc się tam, gdzie odprawiano po dawnemu. Zaczęto prześladować i usuwać z parafii nieposłusznych Popielowi, a na ich miejsce przysyłano księży z Galicyi. Gdy lud nie

chciał uznać intruzów, zaczynały się kary pieniężne i postoje wojska.

W roku 1873 pojechał Popiel do Petersburga z przedstawieniem, że połowa dyecezyi zmiany przyjęła, należy więc urzędownie zaprowadzić jednostajność. Car podpisał protokół z dodatkiem »wykonać«.

W październiku 1873 r. wysłał Popiel do księży okólnik żądający zaprowadzenia od początku roku 1874 nowych obrzędów i odprawianie nabożeństw według załączonego annexu. Jednocześnie gubernatorowie: lubelski i siedlecki otrzymali od ministra rozkaz »przeprowadzić te zmiany za wszelką cenę«.

Księża podzielili się na trzy kategorie. Jedni postanowili nic nie ustąpić, drudzy ustąpić trochę i czekać, trzeci zdecydowali się na bezwarunkową uległość.

Lud, szczególnie na Podlasiu, postanowił wytrwać w wierze katolickiej.

Popiel jeszcze przed terminem wyznaczonym przez okólnik kazał niektórym księżom aresztować. Żaden z nich nie zdecydował się na zmiany. Poszli do więzienia w głąb Rosyi, albo zostali porożsyłani do miejsc niezamieszkałych przez Unitów. Wielu zbiegło zagranicę.

Nadszedł rok 1874. Nagromadzono z innych powiatów policji i wojsko.

Lud zgromadził się licznie po cerkwiach. Tam, gdzie księża odprawiali nabożeństwo po dawnemu, panował spokój, — gdzie księża zaprowadzili małe zmiany, lud wychodził smutny, w cerkwiach, gdzie odprawiało się nowomodne nabożeństwo, powstały ró-

żne zajścia. Lud nie pozwalał odprawiać obrzędów religijnych i zamykał cerkiew. Przyjeżdżał naczelnik z wojskiem. Gdy namowy nie pomagały, używano palnej broni.

Dnia 17. stycznia 1874 roku w Drelowie strzelano do ludu broniącego wstępu do cerkwi; zabito pięciu ludzi.

Dnia 26. stycznia 1874 roku w Pratulinie w ten sam sposób zabito 13, wielu było rannych i więzionych.

Następnie zaczęto gnębić lud kontrybucjami i postojami wojska po wsiach na koszt gromady. Wojsko zwykle odosobniało każdą chatę, broniąc wszelkiego zetknięcia z sąsiadami i twierdząc, że — »już cała wieś podpisała się na nowe nabożeństwo« — starało się wymusić podpis na przyjęcie schyzmy. Katowano i bito nahajkami, aż do utraty przytomności, bez różnicy płci. Lud zaczął się chronić po lasach, nie uważając na zimę. 10. grudnia 1874 r. małżonkowie Koniuszewscy, nie chcąc dać ochrzcić dziecka podług nowego obrządku, spalili się żywcem razem z dziećmi.

Najwięcej prześladowano na Podlasiu, gdyż lud był najbardziej przywiązany do swej wiary.

W czasie pobytu cara w Warszawie lud podał prośbę (o swobodę religijną), na którą dostał odmowną odpowiedź.

W 1874 r. papież Pius IX. wydał encyklikę do ruskich biskupów w Galicyi, w której pochwalił i błogosławił gorącą wiarę Unitów dyccezji chełmskiej.

Unici podlascy odwiedzający swoich dawnych

kapłanów w Galicyi, dostali od nich tę encyklikę z tekstem polskim, oraz błogosławieństwo Ojca św., relikwie i książki, a także dokładny przepis odprawiania wspólnych modlitw i narađ.

Tymczasem prześladowanie nie tylko nie ustawało, ale przybierało formy coraz ostrzejsze. Rzeczy, które się działy na Podlasiu, okropnością swoją przypominają czasy męczeństwa pierwszych chrześcijan. Teraz żądano już wprost podpisów na »dobrowolne« przyjęcie prawosławia.

Na początku 1875 r. Baranow, naczelnik wydziału dla spraw gr. unickich, zdołał wyłudzić podstępem od wielu księży w chełmskim podpisy, iż »przechodzą dobrowolnie wraz z całemi parafiami na prawosławie«. Lud naturalnie nic o tem nie wiedział. Również podstępem wyludzano podpisy od pojedynczych osób »w imieniu całej gminy«.

Dnia 24. stycznia 1875 r. przybył do Białej gubernator Gromeka i arcybiskup prawosławny Joanicjusz na t. zw. akt »sojedinienia« czyli powrotu Unitów na łono prawosławia. W cerkwi, w czasie odczytywania »aktu«, lud spędzony nahajkami zanosił się od płaczu. Taki sam akt odbył się 6. kwietnia w Janowie, 23. maja w Chełmie, 25. maja w Hrubieszowie, 27. maja w Zamościu. Wszędzie odbywały się dla ludu uczty, a car nadsyłał swoje »błahodarenie i udowolstwie«.

Popiel, zwoławszy swój samowładczy konsystorz, ułożył prośbę do cara i zebrał podpisy od duchowieństwa. Dnia 6. kwietnia przyjął car deputacyę, a Po-

piel przedstawił prośbę i akt połączenia się duchowieństwa dyecezyi chełmskiej z prawosławiem.

Dnia 13. maja zatwierdził car rozporządzenie Synodu przyłączające nową prawosławną dyecezyę do arcybiskupstwa warszawskiego z nazwą chełmsko-warszawskie. Popiel został sufraganiem biskupa Joannicyusza.

Księża uniecy, którzy nie chcieli przyjąć prawosławia, jedni uciekli do Galicyi, inni zostali zesłani w głąb Rosyi, lub do miejsc przez Unitów niezamieszkałych. Na ich miejsca rząd sprowadził popów prawosławnych.

Zaczęto karać lud ciągłemi karami pieniężnemi; placono kary za wszystko, za niechodzenie do prawosławnej cerkwi, za niechrzczenie dzieci, za tajemne śluby i pogrzeby. Bardziej opornych wysyłano na Sybir. Oprócz zsylek cząstkowych odbyły się dwie liczniejsze po 150 i 120 osób. Do prawosławnych zaliczano nietylko Unitów, ale i tych rzym. kat., którzy byli chrzczeni w unickim kościele, albo od Unitów choćby w najdalszym stopniu pochodzili.

Wiele kościołów rzym. kat. zniesiono, lub zamieniono na cerkwie. Wstęp do kościoła rzym. kat. Unitom został wzbroniony.

Wyszedł ukaz skazujący na Sybir każdego, kto zniechęca do prawosławia.

Lud, szczególnie na Podlasiu, zachowując bierny opór, przeważnie wytrwał w wierze katolickiej, znosił prześladowanie, płacił kary, sam spełniał obrzędy religijne, ale do cerkwi prawosławnej chodzić nie chciał.

Hospody pomyłuj.

Kilka mil za Chelmem koło Wojsławie ciągną się ogromne lasy przeważnie liściaste, a dalej wzgórze dochodzące nieraz paruset metrów obsiane rozmaitem zbożem, tworząc jedną z piękniejszych okolic naszego kraju.

Lud tu na pozór mniej »oporny« jak na Podlasiu, zdawałoby się, że pogodził się ze swoim losem. To tylko pozory. Kto zna dobrze ten lud, kto umie zajrzeć w głąb tych serc, z takim trudem otwierających się przed obcym, ten wie, że pod tym udanym spokojem wre bunt — dyszy zemsta. A uczucia te tem niebezpieczniejsze, że nie oczyszczone przez mistycyzm i ewangeliczne pojmowanie cierpień jak u Podlasiaków. Gdy chwila sposobna się zdarzy — gdy zerwie się tama — popłynie fala burząca wszystko na swej drodze, która w jednej chwili zniszczy pracę całych lat różnych Eulogjuszów.

W małej kotlinie otoczonej z trzech stron wzgórzami, a z czwartej przytykającej do gościńca, stoi mały pałacyk wśród starannie utrzymanego ogrodu.

Słońce ubiegło już spory kawałek swej powrotnej drogi, ale upał jeszcze straszny. Zdaje się, że żywy ogień leci z nieba i chłonie śmiałków niebezpiecznie narażających się na walkę z żywiołem.

Z bramy wyjeżdża brek zaprzężony w parę ślicznych bulanków i skręca na gościniec. Powozi przygodny furman w ciemnej sukience i kapelusiku.

Snać pilno być musi, bo bułanki rwą jak szalone, aż pokryły się całe białą pianą; nawet, skręciwszy na wąską drożynę pomiędzy dwoma wzgórzami, nie zwolniły biegu.

Wtem osadzone na miejscu stanęły jak wryte, tylko płaty białej piany zaczęły opadać na ziemię.

Naprzeciwno stała furka chłopska naladowana gałęziami.

Zdawało się, że położenie jest bez wyjścia. Wyminąć się nie sposób, a o tem, żeby brek cofnąć na gościniec, mowy niema; bułanki prędzej rozniosłyby brek i woźnicę, zanimby dopuścili do podobnej zniewagi.

Z za furki wysuwa się jakaś postać w sukmanie.

— Ach to wy, Wasylu, jak to dobrze — powiedzcie, co teraz będzie?

— Ha, raz maty rodyla!

Ręce trzymające lejce zaczynają drżeć z lekka.

— Ale powiedzcie, Wasylu, co robić?

Ale Wasyl nie jest zbyt rozmowny. W milczeniu wyciera do sucha bułanki niecierpliwie gryzące wędzidla, wyprzega, wyprowadza na gościniec i przywiązuje do drzewa. Następnie wyciąga brek i zakłada konie.

Teraz wraca do swojej furki. Ale tu sprawa nie idzie tak gładko. Długa chwila upłynęła, zanim zmęczony konik wydostał się na drogę.

Wasyl zbliża się do breku. Chwilę namysła się, wreszcie mówi półgłosem.

— Nic chodźcie z domu więcej w jar.

— Dlaczego?

— Strażniki już się zwiedzieli, co tam się dzieci zbierają — będzie nieszczęście!

— Tak!

— Jutro rano dzieci pójda na uroczysko.

— Cóż kiedy ja nie znam drogi, a w pałacu nie chcę się rozpytywać.

— Za starą cegielnią koło gruszy trza skręcić na ścieżkę do lasu — no, a w lesie to już dzieci będą nagłądać i pokażą.

Kiwa przyjaźnie głową i wraca do swej furki.

Brek skręca na dróżkę, a bułanki znów pędzą jak szalone. Już, już mają stanąć u kresu, już widać łakę — cel podróży, gdy wtem konie zaczynają niespokojnie strzydz uszami.

Z bujnej pszenicy wysuwa się jakaś postać z długą brodą w sutannie i obejrzawszy się na brek szybko daży na łakę.

— Pop!

Teraz położenie stokroć niebezpieczniejsze. Pop widocznie przyszedł na zwiady. Gdy dzieci zobaczą brek, który za sekundę już będzie na łace, zaczną jak zwykle wydawać radosne okrzyki i biedz na wyścigi. Popa mogą zauważyć tylko te dzieci, które są na brzegu.

— Co robić, co robić?

A bułanki już lby wysuwają na łakę.

Ręce trzymające lejce drżą nerwowo.

— Śledztwo, Sybir! — wybiega z ust zbladłych jeszcze bardziej jak zwykle.

Wtem rozlega się silny, donośny śpiew.

Ne można matulu neluba lubyty,
Neszczasnaja dola iz nelubom żyty!
Wolilab ja maty, weś wik dziwowaty,
Jak toho neluba — sokołykom zwaty!

Przygodny furman oddycha swobodnie.

Piosenka ta, to znak umówiony, ostrzegający
o grożącym niebezpieczeństwie.

Teraz brek śmiało wjeżdża na łąkę, wolno prze-
suwa się tuż, tuż koło popa, aż zafalował szeroki rę-
kaw sutanny, mija gromadki dzieci, pasące spokoj-
nie krowy i ginie w lesie.

Pop bacznie się rozgląda, czy nie dostrzeże ja-
kiego podejrzanego objawu.

Ale dzieci tak ciekawie przyglądają się ekwi-
pażowi, takie złośliwe robią uwagi, jak gdyby brek,
bulanki i gości z palacu widziały po raz pierwszy
w życiu.

Pop uspokojony rozpoczyna naukę pokłonów.

— Hospody pomyłuj.

— Hospody pomyłuj — powtarzają dzieci.

Hospody pomyłuj rozbrzmiewa po łące, jak do-
kuczliwa osa goni za brykiem i rozplywa się w lesie.

Spowiedź.

Cichy, ciepły wieczór lipcowy, powietrze prze-
syczone balsamiczną wonią kwiatów. Na werandzie
palacowej tonącej w powodzi światła, na kilku stoli-
kach wre walka:

— Dwa karo, pięć pik, pas, dwa bez atu — krzy-
żuje się w powietrzu.

Koło prześlicznego klombu krążą pary odpoczy-
wające po ognistym mazurze. Służba snuje się cicho,
bacząc na każde skinienie.

Wtem przez otwartą bramę wsuwa się nie-
śmiało jakaś postać w sukmanie. Zbliża do palacu.
Oburzony lokaj schodzi ze stopni, aby wyrzucić
natręta.

Ale wieśniak zaczyna go całować po rękach
i prosić o coś gorąco, co chwila tytułując »jasnym
panem«, czem rozbrojony »jasny pan« z kredensu
decyduje się spełnić jego prośbę. Idzie do jednego ze
stolików i do siedzącego tam staruszka księdza mówi
coś po cichu.

Ksiądz wstał w tej chwili i poszedł z lokajem,
który przez drogę objaśniał go o czemś.

— Ach! tak! — wybiegło z ust kapłana.

Zeszedł z werandy i podniósłszy obejmującego
mu nogi chłopka, zapytał dobrotliwie.

— Czego chciałeś, mój bracie?

Wieśniak zaczyna coś mówić bez związku, ob-
lewając ręce księdza gorącymi łzami. Wśród potoku
słów co chwila powtarzają się wyrazy:

— Żona... umiera... prosi o spowiedź... obcy
»ksiondz« — może przyńdzie...

Na twarzy księdza znać walkę. Jakże chętnie
by pospieszył do tej duszy tak gorąco pragnącej po-
jednania z Bogiem. Już, już decyduje się, gdy wtem
spojrzenie rzucone na służbę, odbiera mu odwagę.

— Nie, tym zaufać niebezpiecznie.

— Mój bracie, czy ty wiesz, czego odemnie żadasz... to Sybir... zesłanie.

Ale biedak wciąż oblewa ręce kapłana łzami i powtarza swoje.

— Nie mogę, bracie... nie mogę... zresztą nie mam z sobą komunikantów...

Wieśniak jest niewzruszony.

Ksiądz z trudem uwalnia ręce od uścisków.

— Idź, bracie i powiedz żonie, iż wobec jej gorącego pragnienia spowiedzi w chwili śmierci i tak grzechy jej będą odpuszczone.

I szybko wraca na werandę, bojąc się dalszych prośb. Ciężka troska maluje się na jego dobrej twarzy. Podjął położone przed chwilą karty, ale uleciała gdzieś pysznie obmyślona kombinacja, zaczyna bezmyślnie wyrzucać atuty, narażając się na ciche sykanie partnera.

Wieśniak, widząc, że nie został wysłuchany, zawraca ku bramie.

Od jednej z grup krążących koło klombu odrywa się jakaś postać i spieszy za nim.

— Kuźmo, czy wy zrozumieliście, co ksiondz powiedział?

Głuche milczenie.

— Ksiądz mówił, że wasza żona i tak dostąpi odpuszczenia grzechów.

Ale Kuźma robi przeczący ruch głową, w umyśle jego pomieścić się nie może pojęcie o odpuszczeniu grzechów bez obecności księdza.

Szybko przechodzą przez wieś i wchodzą do

otwartej chaty. W izbie ciemno, tylko w alkierzu błyszczy słabe światelko.

To kawałek gromnicy przyniesionej przez kogoś z Częstochowy — relikwie wśród Unitów — pali się w ręku umierającej.

Chora usłyszała kroki.

— Czy przyszedł »ksiondz«?

Mąż niema siły dać przeczącej odpowiedzi, rzucił się na kolana koło łóżka i zaczyna szlochać.

— Powtarzajcie za mną, dobra kobieto, Akt żalu — rozlega się jakiś głos.

Chora obraca głowę, ale oczy jej zaszle bielmem śmierci, nie rozróżnić nie mogą.

Niewysłowiona radość rozjaśnia jej oblicze.

Ach więc nie umrze bez spowiedzi, więc przyszedł »ksiondz«, nikt inny nie przemawiałby w ten sposób. Słabnącym głosem powtarza słowa modlitwy i czuje na czole, ustach i piersiach znak krzyża czyiniony »mentalikiem«.

Na twarzy jej jaśnieje błogi spokój. Ręką wolną od gromnicy chwytą za »mentalik« i kurczowo zaciska go w stygnących palcach.

Lecz teraz przygodną spowiedniczkę opanowuje straszna, bezgraniczna trwoga. Zdaje jej się, że śmierć stoi tuż, tuż przy niej. Jeszcze nigdy nie była tak blisko przy umierającej.

Na sekundę przyklęka koło łóżka, mija klęczących i szybko wychodzi na gościniec. Cała wieś uśpiona, nawet w oknach popa ciemno.

Zaczyna biec w stronę pałacu.

Znikła gdzieś bez śladu błednica, bicie serca

i anemiczny ból głowy nie pozwalający szybszego ruchu, pozostał tylko szalony strach zdwajający siły.

Wreszcie dopadła werandy. Z salonu dochodzą melodyjne tony walca »Na falach Dunaju« — wist trwa dalej. Szczęściem nikt nie zauważył jej nieobecności.

Minęła grających i weszła do wspaniałego przed-sionka.

Gdzie pójść — do siebie, czy do salonu.

— Ach, za nic samotność — do światła — do ludzi — do gwaru.

Cicho wsunęła się do salonu i zagłębiła w pierwszym fotelu.

Lokaj roznoszący napoje przystanął.

Pochwyciła kieliszek szampana i wychyliła duszkiem — to orzeźwiło ją trochę.

Po salonie zwolna krążyła już tylko jedna para, a walc umilkł w ostatnich akordach.

Ktoś usiadł obok.

— Czy mogę panią prosić do kontredansa — to przecież nie męczy?

— Dziękuję — mnie zupełnie tańczyć nie wolno. Zbliżyło się kilka osób.

— Prosimy o kontredansa — kiedy pani nie tańczy, to proszę choć zagrać.

— Ach tak, tak, grać będę choćby do rana — wszystko, co zechcecie.

Za chwilę w salonie rozległy się huczne tony z »Madame Angôt«.

A w chacie odmawiano modlitwy za konających.

Po północy cicho wyszedł maly orszak, niosąc zastygłe zwłoki na »polski« cmentarz.

List.

Ksenia snuje się jak senna po pokojach. Pozamykała okna, posłala łóżka, naszykowała szlafroczyki, ale jasnej pani i panienki ani widać. Dochodzący z salonu śpiew zwiastuje, że jeszcze nawet kolacyi nie podano.

Dziewczyna nie mogła wytrzymać dłużej i zbiegła na dół.

W spiżarni »panna apteczkowa« szykowała przysmaki do ubrania stołu.

— Proszę mnie zwolnić na dzisiejszy wieczór.

»Panna« przychylnie kiwnęła głową: wszak i tak musi czekać, żeby malej panience zawinąć loki.

Ksenia wybiegła z palacu, dążąc do malej oficyнки ukrytej za krzewami.

Przy świetle malej lampki stara gospodyni czytała Złoty oltarzyk. Zdziwiona, spojrzała na wchodzącą.

Ksenia z za gorsetu wydobyła list i podała staruszce, prosząc o przeczytanie.

Gospodyni spełniła prośbę.

»Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Ukochana córko moja! Gdy list ten dojdzie do Ciebie, mnie już nie będzie na tym świecie. Nie żał mi umierać, bo za dobrą sprawę ginę, boję się tylko, żebyś

Ty, córko moja, nie odstępiała od św. Wiary ojców Twoich. Pamiętaj zawsze, że życie krótkie, a wieczność długa; jeżeli się będziesz bała prześladowań teraz, to będziesz cierpieć męki w przyszłości, wybierz więc to, co lepsze, a da Bóg, że kiedyś połączymy się w Niebie.

List ten pisze i obiecał ci przesłać jeden pan, co tu razem ze mną zesłany.

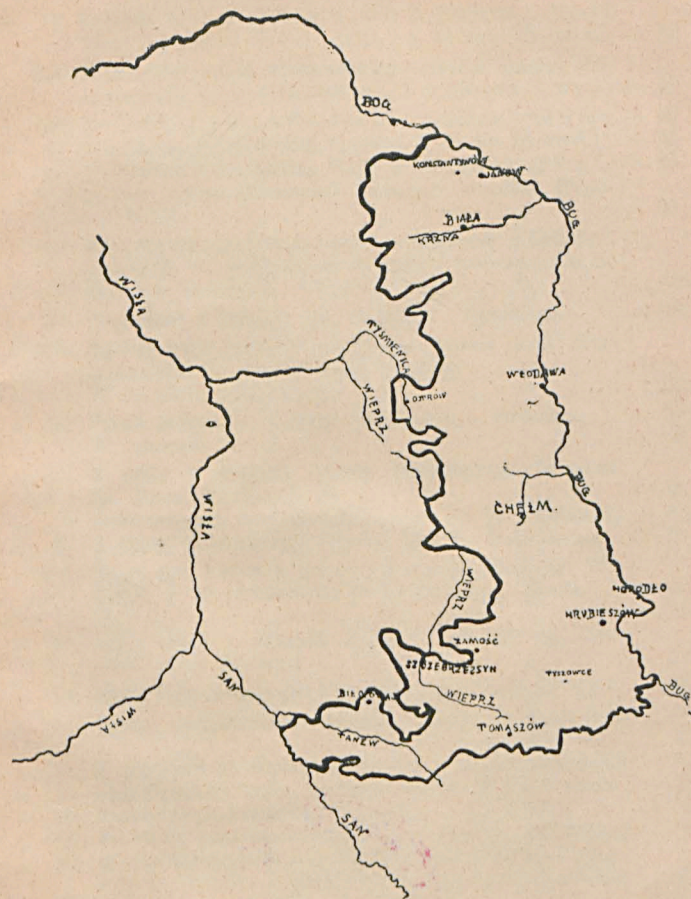
Błogosławię Ci i całuję po raz ostatni.

Twój ojciec.«

Ksenia wybuchnęła głośnym płaczem i długo, długo stara gospodyni uspokoić jej nie mogła.



w stosunku do obszaru Królestwa



GUBERNIA CHEŁMSKA
(między ciemniej nakreśloną linią
a rzeką Bug).

2) Wydawnictwa „Macierzy Polskiej“:

	K. h.
Nr. 20. Królowa Korony polskiej, żywot Najświętszej Maryi Panny, napisał Wład. Belza, z 11 ryc. (3. wyd.)	— 30
• 23. O budowie zagród włościańskich, napisał Maciej Moraczewski, c. k. radca budown., z rycinami (2. wyd.)	— 40
• 40. Pan Tadeusz Adama Mickiewicza, broszur.—20 wopr.	— 60
• 41. O hetmanie Żółkiewskim, napisał F. Papée (3 wyd.)	— 20
• 50. O Stefanie Czarnieckim. Nap. W. Czermak. (3 wyd.)	— 25
• 52. Uprawa roślin pastewnych, zielnych, napisał Wład. Szybński	— 72
• 60. Rady dla utrzymujących buhaje rozplodowe, o buhajach gminnych i o pożyczkach na buhaje gminne wraz ze zbiorem przepisów hodowlanych (wyd. 3.)	— 30
• 64. Pogadanki o hodowli ryb, napisał J. Mielnicki	— 20
• 65. Śpiewy historyczne J. U. Niemcewicza, z 35 ilustracyami St. Dębickiego, broszur.	1 —
W oprawie płóciennej	1 30
• 70. Pisma poetyczne Adama Mickiewicza, broszur.	— 30
W oprawie	— 60
• 71. O życiu i pismach Adama Mickiewicza. Napisał Cz. Pieniążek (wyd. 2)	— 20
• 74. Jubileusz czyli lato miłościwe, nap. ks. W. Puchalski	— 40
• 77. O Maryi Konopnickiej, napisał Dr. K. Falkiewicz	— 20
• 81. Dobry syn, bajka z przed lat tysiąca, napisał Wł. Belza, z 10 rysunkami S. Dębickiego. Brosz.	— 40
Karton.	— 70
• 82. Kilka chwil z naszych dziejów, napisał M. Niedzwiedzki. II. wyd.	— 30
• 86. Wybór win owocowych i powideł, nap. Froń (2 wyd.)	— 40
• 87. Drobne gospodarstwo wiejskie, napisał A. Sniegocki	1 20
W oprawie	1 70
• 88. Z żołnierki na Kaukazie. Opow. I. Ciembroniewicz	— 30
• 89. Pod trzeciego króla, napisał Jakób Bojko z rycin.	— 40
• 90. Opowiadania rozmaite, przez K. Królińskiego	— 40
• 92. Za naszą i waszą wolność, nap. Jadwiga Strokowa	— 50
• 93. Władysław Jagiełło jako opiekun miasteczka. Z przeszłości Gródka Jagiellońskiego, nap. F. Jaworski	— 40
• 94. Księgi gruntowe. Nap. Józef Wilusz	— 20
• 96. O Komasacyi gruntów. Napisał Bolesław Gurski. Z dwoma mapkami	— 40
• 98. Ku czci królowej Jadwigi. Dwa obrazki sceniczne: Królowa Jadwiga przez B. Żulińską i Opiekunka sierót przez J. Jaworską	— 40
• 100. Nowy projekt ustawy o ubezpieczeniu społecznem. Nap. Dr. E. Dubanowicz	— 10

Przy zamawianiu wystarczy podać numer porządkowy i ilość żądanych egzemplarzy, adresując:

Biuro „Macierzy Polskiej“, Lwów Gmach Sejmowy.

XV Pool

3) BIBLIOTEKA „MACIERZY POLSKIEJ“

obejmuje rocznie kilka tomów, razem około 50 arkuszy druku, z następujących czterech działów

I. Dział praktyczny i gospodarski. — II. Dział historyczny.

III. Dział przyrodniczy i krajoznawczy. — IV. Dział rozrywkowy.

Można nabywać w drodze przedpłaty, która wynosi całorocznie dwie korony. Nabywać można także z osobna.

	kor. h.
Nr. 17. Nad Niemnem, powieść Orzeszkowej (wyd. II) . . .	1 —
• 20. Jan Kiliński, przez Dra Nitmana (II wyd.) . . .	— 30
• 36. Spłacony dług, powieść z r. 1831. Nap. W. Szalay. . .	1 20
• 39. Choroby zakaźne. Opisał Dr. S. Domański	1 —
• 41. Zbiór powieści i gawęd. Ułoż. Dr. Fr. Krezek (z 10 rys.)	1 50
• 44. Powietrze ze stanowiska chemii i higieny nap. B.D. —	70
• 45. Juliusz Słowacki. Żywot i wybór pism, przez Dra K. Wojciechowskiego. Z 10 ryc. w brosz 1—.	W opr. 1 50
• 47. O Wł. L. Anczyca. Napisał Jan Magiera	— 40
• 49. Rodzinny dom. Napisała Jadwiga z Łobzowa	— 80
• 50. Śląsk cieszyński i jego odrodzenie, nap. St. Warcholik —	50
• 51. Wiązanka z chłopskiej niwy, poezye Ferd. Kurasia —	50
• 52. Z walk tatarskich, napisał M. Niedźwiecki	— 30
• 54. O kometach i komecie Halleya. Nap. M. Ernst	— 30
• 55. Dziesięć lat niewoli moskiewskiej, op. Ciembroniewicz —	50
• 56. Wybór poezyi Kasprowicz z portretem	— 60
• 57. O Zygmuncie Krasieńskim. Nap. Dr. K. Wojciechowski —	70
• 58. Astronomia popularna. Nap. Dr. M. Ernst	1 20
• 59. Perekińczyk. Napisał A. Powała	— 30
• 60. Z życia zwierząt. I. Nap. J. Ciembroniewicz	— 70
• 61. Melsztyn i jego okolice nap. Marya Sandoz, z ryc. —	80
• 62. Jasenka nap. W. Szalayówna	— 40
• 63. Z odległej przeszłości skieślił W. Belza	— 40
• 64. Oszczędna gospoia przez J. Albinowską	1 80
• 65. Czytanka dla służących staraniem Koła Pań T. S. L. . .	2 —
• 66. Ogród warzywny. Nap. Józef Froń	1 —
• 67. Za gwiazdą zwodniczą. Nap. W. Szalay	1 —
• 68. Przez Syberyę, Mandżuryę i Japonię do brzegów Oceanu Spokojnego. Nap. J. Tokarski	1 —
• 69. Dzieje odkryć geograficznych, nap. Dr. M. Gawlik . .	1 20
• 70. Wspomnienia żołnierza-tufacza (1848—1863). Nap. Pankracy Wodziński	— 50
• 71. Pszczelnictwo. Napisał ks. Godziń	— 50
• 72. Z życia zwierząt II. Nap. J. Ciembroniewicz	1 —
• 73. Napoje alkoholowe. Nap. B. Duchowicz	— 50
• 74. Rok 1812, przez A. M. Skalkowskiego	1 30
• 75. J. I. Kraszewski. Nap. Dr. Piekarski	2 —
• 76. Przez Pogrom. Nap. A. St. Bassara	1 —
• 77. Obrazki polskie przez W. Studnicką	1 —
• 78. Krwawe dzieje, opowiedziała Mossoczowa	— 40
• 79. Dzieje odkryć geograficznych II nap. Dr. M. Gawlik . .	1 50
• 80. Wspomnienia z powstania 1863 r. spisał K. Zielonka . .	1 50
• 81. Kim był Karol Marcinkowski? nap. Helena Rzepecka . .	1 —
• 82. Bolesław Prus, nap. Konstanty Wojciechowski	1 —
• 83. Książę Józef Poniatowski, nap. B. Pawłowski	— 60
• 84. Trzaska i Zbroja. Opowieść, nap. A. Domańska	— 50
• 85. Nauka moralności narodowej, opr. B. Zulińska	— 20
• 86. Marya Bartusówna, dzieła zebrane staraniem Komitetu wydania zbiorowego. Tom I i II	2 —